

Księga piąta
1512-1526

Bracia

Przekonał się Mikołaj rychło, że nie ma ciszy i pokoju w najodleglejszym zakątku świata.

Piękne to było zesłanie. Piękne i warowne, zabezpieczone przed napaściami. Lecz to, co ktoś mógł odczuwać jako gwarancję bezpieczeństwa, on odczuł jako mocny łańcuch przykuwający więźnia. Gdy z kurii, położonej za murami, wchodził teraz na teren obwarowany, kręcił z dezaprobatą głową na widok wielkich budowli: wież obronnych, katedry, zabudowań administracyjnych i gospodarczych. To co w wielkim mieście wydawało się naturalne, tu wyglądało zanadto na wyrost. Nie odmieniała tych odczuć świadomość krzyżackiego niebezpieczeństwa. Gród Naszej Pani — jak zwali Frombork miejscowi — powinien według jego wyobraźni być filigranowy, niejako dziewczęcy.

Jedynie kościół Marii Panny spełniał ten warunek, pomimo całej swej okazałości. Jego strzeliste wieżyczki modlitewnie wznosiły się w niebo. Ażury galeryjek harmonizowały z portalem, z jego subtelnymi fryzami z terakoty. Nadziemnym krytym przejściem katedra łączyła się z kapitułarzem.

Drugim blokiem architektonicznym — jakże odmiennym od kościoła — był potężny, oktogonalny bastion, zabezpieczający południowo-zachodni narożnik wzgórza.

Bramą zachodnią Kopernik wszedł na dziedziniec. Był on już dość gęsto zabudowany, bo do muru dostawiono zastępcze kurie, które służyły kanonikom jako mieszkania w okresach zagrożenia wojennego. Jedynie sam środek placu porastały jeszcze stare drzewa, dające cień i wytchnienie w lipcowym skwarze.

Mikołaj szedł tu właściwie bez żadnego interesu. Nic nie łączyło go z konfratrami, którzy krzywo na niego patrzyli. Nie dowierzali mu nadal, tak jak za życia wuja, gdy traktowali go jako biskupiego zausznika. Nie dowierzali, choć w kwietniu, podczas posiedzenia kapituły, dowiódł, że nie zależy mu na władzy i gdy wysunięto go jako kandydata na biskupa, zachnął się gniewnie. Właśnie dlatego zgodził się na wybór Fabiana z Łęzan, choć nie cierpiał jego pańskich manier; przy tym Mikołaj był przeświadczony, że Warmią będzie teraz rządziła zdziwacza i podobnie jak syn zmanierowana matka biskupa. Toteż gdy inni przypodchlebiali się nowemu władcy — on na jego temat nigdy nie zabierał głosu. Po śmierci wuja polityką przestał się interesować, szukał odpoczynku od niej i marzył tylko, by jak najprędzej jąc się systematycznych obserwacji astronomicznych.

Wspiał się po schodkach na szczyt muru obronnego i stanął na nim, pieszcząc dłonią czerwone, czerniejące pod działaniem czasu, szerokie cegły, tak różne od płaskich, romańskich, które widywał w Italii.

Pod murem leżały w ogrodach kurie zewnętrzne, z których kominów wznosiły się pasemka wonnego dymu, przypominając o małym, lichym życiu kanoników, zapatrzonych we własne trzosi i w skrytości ducha marzących o biskupim tronie, a ponieważ był trudno dostępny — o godnościach: prepozyta, dziekana, kustosza, kantora.

Jemu były te marzenia całkiem obce. Wchodził w czterdziesty rok życia, ani się obejrzał, kiedy stał się mężczyzną — ciągle pod opieką wuja i choć może sam bardziej opiekował się starym człowiekiem na biskupim tronie, traktowany był przez niego stale jak dziecko.

Muskał wzrokiem oblane słońcem dachy miasteczka, wieże kościelne i bramy miejskie, rozciągające się poniżej warowni. Dalej — za nimi — piaszczysta smuga wybrzeża zamykała linię

lądu i otwierała zielony bezkres morza, przechodzący w kolor nieba, a zakłócony tuż pod krawędzią horyzontu różowym pasemkiem ledwie widzialnej Mierzei Wiślanej. W niewielkiej zatoczce chroniły się kutry rybackie. A ponad wszystkim niebo szalało płomieniami miotanymi przez słońce. Skąd tyle ognia w tej pozornie małej kuli?

A skąd tyle ognia w człowieku? Skąd tyle sił do życia po śmierci przyjaciół i pośród rozłąki. Daleko pozostał Stach, daleko Bernard Wapowski, Korwin, Tideman Gizjusz w ustawicznych podróżach. A Maciej z Anną?

Anna! Gdyby teraz zechciała przenieść się do tego najodleglejszego zakątka świata!

Kopernik zerwał się nagle z miejsca. Po cóż tu przychodził? Wiedział już właściwie, skąd będzie obserwował ciała niebieskie. Tam, w ogrodzie, wymuruje sobie pavementum — posadzkę, na której ustawi przyrządy astronomiczne. A tymczasem najpilniejsze obserwacje przeprowadzi na którejkolwiek z tych wież.

W domu czekano na niego z gotowym obiadem, Cebulski już przymilnym słowem napędzał do stołu. Mikołaj był rad, że akurat na czas spokojniejszego życia doczekał się dobrego totumfackiego. Od tylu lat miał prawo utrzymywania dwóch sług, ale w Lidzbarku nawet jednego było za dużo, gdy jadało się przy biskupim stole i korzystało z zamkowych usług na każdym kroku. Byli to zazwyczaj słudzy — nic dobrego, obiboki, szukający łatwego chleba. Wojciech okazał się pierwszym wiernym człowiekiem wśród nich, można było nawet powiedzieć: przyjacielem. Toteż obaj razem przeprowadzili się do Fromborka jak nierozłączni.

Cebulskiemu można było ze wszystkim zawierzyć, wyliczał się rzetelnie z każdego grosza. Trudno było mieć mu za złe to, że sprowadzał do kuchni co pewnien czas dziewczki, które zapewne nie tylko strawę warzyły, bo traktował je zawsze z jakąś niecodzienną czułością.

Tym razem dziewczyna akurat kuchennym wejściem do ogrodu się wymknęła i okrążyła dom, by nie spotkać się z kanonikiem. Gdy ten zaczął jeść obiad, pomyślał, że dobry wybór uczynił Wojciech, jeżeli potrawy są tak smaczne.

Powiedział mu w pewnej chwili wręcz:

— Dobrze gotuje ta twoja, jak jej tam na imię...

— Jagna — wyjaśnił sługa poważnie, ruszając wąsem. Twarz miał skupioną, postać majestatyczną. Nic go nie mogło wyprowadzić z równowagi.

— Mam nadzieję, że nie zmienisz jej zbyt prędko, chciałbym jak najdłużej tak smacznie jadać.

— Dobrze, wasza wielbność. Ja dobrą dziewczkę niełatwo puszczam. Ale za przeproszeniem, wasza wielbność, i dziewczka o was dobrze się wyraża. Słyszała, że przed dwiema niedzielami wielbność u jakiegoś rybaka był i z choroby go wyleczył. A akurat matka Jagny słabuje. Może byłaby i ona godna pomocy?

— Na pewno — odrzekł Mikołaj bez namysłu. Nie miał Wojciechowi za złe tej prośby. Ucieszył się nawet, że w chwili rozterki zajmie się czymś, co go zbliży do ludzi.

Rodzice Jagny mieszkali przy drodze do Tolkmicka. Minęli dom rybaka, któremu niedawno zalecił Mikołaj ziółka. Wstąpili na chwilę. Rybak był jednak na połowach i miał wrócić dopiero pod wieczór. Starucha za to rzuciła się Kopernikowi do kolan i błogosławiła:

— Niechaj wszechmogący Pan Bóg wynagrodzi wielbnemu dobre serce! Staremu mojemu chorobę odjęło czwartego dnia, jakem go ziołami trzy razy na dzień poić poczęła. Istny cud! To już zaiste nie zioła taką moc mają, jeno Pan Bóg, co z nim wielbność każdego dnia gada. Dzięki wielkie!

Chciała gościom jajek dać i kureę tłustą schwytać, ale Mikołaj stanowczo odmówił, zgodził się tylko, że wieczorem Wojciech tu wróci i kupi świeżych ryb.

Szedł potem kontent, że prostym ludziom przysługę wyświadczył. Radowało go to bardziej niż leczenie kapryśujących kanoników. Wiedział, że pomoc lekarska udzielona raz i drugi chłopom i mieszczanom fromborskim przysporzy mu kłopotów i fatygi, bo zaczął tłumnie ściągać do jego kurii, ale nie bał się tego. Byłby gotów raczej w ten sposób odslugiwać warmiński chleb, niż przesiadywaniem na nie zawsze interesujących posiedzeniach kapituły, gdzie musiał wysłuchiwać wszystkiego, co komu ślina na język przyniosła.

Matka Jagny była mocno pochylona wiekiem. Owdowiała już dawno i razem z córką mieszkała przy żonatym synu, chowającym kilkoro własnych dzieci. Inne jej potomstwo poszło w świat, tylko najmłodsza Jagna postanowiła matkę do śmierci pielęgnować. Kopernik wysłuchiwał skarg o dolegliwościach i popatrzył starej w oczy. Wyłuskał z nawału bezładnych informacji to przede wszystkim, że prócz ogólnych starczych niedomagań musiało kobiecie coś na żołądku lec.

Na to miał wypróbowaną metodę: wymioty. A sposób na nie prosty: wypicie dużej ilości wody. Gdy jednak stara za dużo już jak na swój wiek wypila, a nic to nie pomogło, wsadził jej palec do ust i reakcja nastąpiła natychmiast. Przed odejściem lekarz nauczył ją na pamięć całego wykazu ziół, których zestaw znał z literatury medycznej jako panaceum przeciwko dolegliwościom starczym.

Gdy zakończywszy lekarskie badanie chciał ruszyć w powrotną drogę na wzgórze katedralne, Jagna zagroziła mu drogę i całując rękę zapiszczała:

— A musi jaśnie pan kanonik podziękowanie za ratunek mamy przyjąć ode mnie. Mówił mi Wojtek, że jaśnie panu smakuje to, co ja gotuję. To proszę naszych podpłomyków skosztować, co je z sokiem malinowym przyprawiłam.

Mikołaj ani przez chwilę nie zamierzał odrzucić zaproszenia tej hożej dziewczki. Twarz miała Jagna co prawda prostą, o gru-

bych rysach, lecz harmonizowała ona z jasnymi, jak pszenne sło-
ma, włosami. Kibić zaś dziewczyny uwydatniał jeszcze sposób
ściągnięcia w pasie cienkiej sukienki z delikatnego płótna lnia-
nego. Dziewczyna uśmiechała się przy tym obiecująco, jakby
zapraszając do zalotów.

Podpłomyki w malinowym soku stanowiły smakołyk zupełnie
wyjątkowy. Przypominały mu najpiękniejsze lata w Kaszczorku
pod Toruniem i smakołyki podawane w ogrodzie przez matkę.

Gdy wracali na wzgórze katedralne, Mikołaj życzliwie wyra-
żał się o Jagnie i nie taił, że nie byłby przeciwny, gdyby Woj-
ciech chciał się z nią ożenić.

Przed kurią Świętego Piotra zastali Tidemana Gizjusza. Sie-
dział na ławeczce przed domem i czekał, strudzony zapewne po-
dróżą z Lidzbarka. Gdy zobaczył nadchodzących, zawołał z da-
leka:

— A któż to pozostawia sam dom taki poroztwierany! Czyż-
byś, Mikołaju, Wojciecha przemianował ze sługi na przyjaciela?

— Witaj, kochany! — odpowiedział Kopernik głośno.

— Szczęście, że wracasz już.

Witali się serdecznie, całując w policzki i ściskając się mocno.

— A cóż to? — zaniepokoił się gospodarz. — Masz jakieś złe
wieści?

Tideman spochmurniał nagle.

— Zlituj się, co się stało?!

Przyjaciel objął go jeszcze raz uspokajająco i pociągnął ku
furtce.

— Zostaw Wojciecha w domu i chodź ze mną.

Poszli pod górę ku bramie. Słońce stało jeszcze wysoko, ale
nie paliło już tak, jak wczesnym popołudniem. Gizjusz po chwili
zaczął mówić poważnym, uroczystym tonem:

— Przyjechałem przed dwiema godzinami. Przywiozłem go
z sobą, przybył akurat parę dni temu i czekał by wybrać się
razem ze mną.

— Kto? Bój się Boga, kto?!

— Brat twój, Andrzej. Jest ciężko chory.

— Wiem przecie — powiedział Mikołaj, westchnąwszy z troską i zarazem ulgą, że nie zjawilo się żadne nowe zło.

— Ale nie wiesz, jak bardzo chory. Leczenie w Italii nic mu nie pomogło.

— I nie pomoże. Mówią, że to trąd. A ja wiem, że to choroba Wenery. Medycyna nie zna sposobów na nią.

— Ciało z niego odpada prawie, woń niemiła dookoła się niesie.

— Straszne to — powiedział Mikołaj. — Spróbuję zabrać się do leczenia. Czy jednak sądzisz, że mu pomogę? Że go wyleczę?

— Tymczasem w czym innym musisz mu pomóc.

— W czym?

— Kanonicy nie chcą go we Fromborku widzieć, wypędzają na cztery wiatry.

— Co!

Kopernik krzyknął, nagłym gniewem zatrząsł się, ale zapanaował nad sobą w jednej chwili. Byli już na dziedzińcu wewnątrz murów. Przed wejściem do katedry stali dziekan Bernard Skultet, kustosz Andrzej Klecz i kantor Jerzy Delau, wymachując rękami. Można było łatwo domyślić się, nad czym toczyła się dyskusja.

— Gdzie Andrzej? — szepnął Kopernik.

— Posadziłem go tymczasem w kościele, toboły jego jeszcze są na wozie.

Mikołaj w kruchcie ochłonał nieco. Dotknął palcami święconej wody, przeżegnał się i przykląkł na chwilę. Pomyślał, że jednak religijne obrzędy mają jakiś sens ładzący odruchy człowieka. Wstał i wszedł do głównej nawy. Wraz z intensywnym cieniem oblał go chłód. W skupionej ciszy świątyni słyhać było tylko stukot obcasów o posadzkę.

Andrzej siedział w stallach. Spod podróżnej opończy wysta-

wała tylko jego twarz. Oczy tonęły wśród krwawych plam.

Mikołaj zatrzymał się przed tym odrażającym widokiem. Nie, teraz nie dziwił się kanonikom, że nie chcą przyjąć trędowatego. Ale on — brat — musi mu dać opiekę i pomoc.

Gdy Andrzej wyciągnął rękę przed siebie i odwrócił się ku Mikołajowi, ten osunął się na stopnie prezbiterium i zatopił twarz w dłoniach. Klęczał w ten sposób długo, nie umiał o niczym myśleć, klęczał i oddawał się kościelnej ciszy. Dopiero w pewnej chwili usłyszał kroki za sobą — to pewnie Gizjusz przyszedł.

Wstał, zbliżył się do brata jeszcze na kroków parę, stanął tuż, tuż przed nim, przed tą zmasakrowaną twarzą, w której odczytywał błaganie. Ale nie wyciągnął ręki przed siebie, zresztą i tamta ręka spoczywała już na kolanie. Powiedział dobitnie, głośno:

— Zostaniesz tu, bracie, będę cię leczył.

Poczuł dłoń na swym barku. Obrócił się za siebie i ujrzał twarz Gizjusza — wdzięczną, akceptującą jego decyzję.

Gwiazdy fromborskie

„Spośród licznych i różnorodnych sztuk i nauk, budzących w nas zamięłowanie i będących dla umysłów ludzkich pokarmem, tym — według mego zdania — przede wszystkim poświęcać się należy i te z największym uprawiać zapalem, które obracają się w kręgu rzeczy najpiękniejszych i najbardziej godnych poznania. Takimi zaś są nauki, które zajmują się cudownymi obrotami we wszechświecie i biegami gwiazd, ich rozmiarami i odległościami, ich wschodem i zachodem oraz przyczynami wszystkich innych zjawisk na niebie, a w końcu wyjaśniają cały układ świata. A cóż piękniejszego nad niebo, które przecież ogarnia wszystko, co piękne? Świadczą o tym już same nazwy, takie jak «coelum» i «mundus», z których ta oznacza czystość i ozdobę, tamta — dzieło rzeźbiarza. I wielu filozofów właśnie dla tej nadzwyczajnej piękności nieba wprost je nazwało widzialnym bóstwem. A zatem, jeżeli godność nauk mamy oceniać według ich przedmiotu, to bez porównania najprzedniejszą z nich będzie ta, którą jedni nazywają astronomią, inni astrologią, a wielu z dawniejszych szczytem matematyki. I nic dziwnego, skoro ta właśnie nauka, będąca głową sztuk wyzwolonych i najbardziej godna człowieka szlachetnie myślącego, opiera się na wszystkich niemal działaniach matematyki: arytmetyka, geometria, optyka, geodezja, mechanika i jakie one tam jeszcze być mogą — wszystkie się na nią składają.

A skoro zadaniem wszystkich nauk szlachetnych jest odciągnąć człowieka od zła i kierować jego umysł ku większej doskonałości, to ta nauka, oprócz niepojętej rozkoszy umysłu, sprawi

to może w pełniejszej mierze niż inne. Któż bowiem zgłębiając te rzeczy i widząc, jak wszystko w nich ustawione jest w najlepszym ładzie i boską kierowane wolą, nie wzniesie się na wyżyny cnoty przez pilne ich rozważania i stałą jakby zażyłość z nimi i nie będzie podziwiał Stwórcy wszechrzeczy, w którym się mieści całe szczęście i wszelkie dobro? Bo też ów boski psalmista nie głosiłby bez przyczyny, że raduje się w stworzeniu boskim i będzie się wesoślił w dziełach rąk Jego, gdyby nie to, że za pośrednictwem tych rzeczy jakby na jakimś rydwanie przenosimy się do rozważania najwyższego dobra. Ile zaś pożytku i ozdoby przynieść może ta nauka sprawie publicznej — by pominąć milczeniem niezliczone korzyści prywatnych ludzi — bardzo trafnie zauważył Platon, który z VII księdze «Praw» wypowiada zdanie, że z tego przede wszystkim powodu należy do niej dążyć, aby czas, rozłożony z jej pomocą według dni na miesiące i lata, utrzymywał społeczeństwo w żywej czujności również co do uroczystych świąt i składania ofiar; a jeżeli ktoś — mówi on — będzie twierdził, że człowiekowi mającemu przyswoić sobie którąkolwiek z nauk szlachetnych ta nauka jest niepotrzebna, to taki pogląd będzie największą głupotą. A także sądzi, że daleko do tego by ktokolwiek mógł zostać doskonałym i zasługiwać na tę nazwę, jeżeli nie posiada koniecznej wiedzy o Słońcu, Księżycu i wszystkich innych planetach.

Ale ta boska raczej niż ludzka nauka, zgłębiająca się w rzeczy najwznioślejsze, nie jest pozbawiona trudności, zwłaszcza że stwierdzamy, iż ludzie, którzy zabierali się do jej uprawiania po największej części nie zgadzali się między sobą co do jej podstawowych założeń, zwanych po grecku hipotezami i dlatego też nie na tych samych opierali się zasadach. Dalsza trudność leży w tym, że biegu planet i obrotu gwiazd oznaczyć dokładnymi liczbami i doprowadzić do stanu wiedzy doskonałej nie można było inaczej, jak tylko z upływem czasu i po uprzednim dokonaniu licznych obserwacji, przez które przekazywano ją — że

się tak wyrażę — z rąk do rąk następnym pokoleniom. Bo chociaż Klaudiusz Ptolemeusz z Aleksandrii, znacznie przewyższający wszystkich innych zarówno godną podziwu bystrością swoją jak i pracowitością, doprowadził całą tę naukę na podstawie przeszło czterechsetletnich obserwacji do wykończonej niemal całości, tak że się zdawało, iż nie pozostaje już nic takiego, czego by on nie dotknął, mimo to widzimy, że bardzo wiele rzeczy nie zgadza się z tym, co powinno wynikać z jego nauki, a także odkryto niektóre inne ruchy, które jemu były jeszcze nieznaną. Dlatego to i Plutarch w tym miejscu, gdzie pisze o długości słonecznego roku zwrotnikowego, powiada: „Do dzisiaj ruch gwiazd przekracza wiedzę matematyków”. Bo żeby dla przykładu wziąć ten właśnie rok, sądzę, że wiadomą jest rzeczą, jak różnorodne co do niego były zawsze zdania, do tego stopnia, że wielu całkiem zwątpiło, by można było dokładnie go obliczyć. Żeby się jednak nie wydawało, jakoby pod osłoną tej trudności chciał ukryć własną nieudolność, spróbuję z pomocą Boga, bez którego niczego zdziałać nie możemy, szerzej te rzeczy zbadać, zwłaszcza że o tyle więcej mam materiału, na którym mogę się oprzeć w tym wykładzie, o ile dłuższy przeciąg czasu dzieli mnie od poprzedników i twórców tej nauki, z których odkryciami będę mógł porównać i moje, świeżo poczynione odkrycia. Zresztą wyznaję otwarcie, że wiele rzeczy podam tu inaczej aniżeli moi poprzednicy, jakkolwiek na podstawie ich dorobku, jako że oni pierwsi utorowali drogę do badań nad tymi zagadnieniami”.*

Napisawszy ostatnie z tych słów, Mikołaj Kopernik odłożył pióro i odetchnął z ulgą.

Zaczął kreślić szkice do tego dzieła, o którym marzył przez co najmniej trzy czwarte swego żywota. Teraz już miał sporo materiału, by zacząć wyciągać ostateczne wnioski. Przez dwa lata od śmierci Łukasza Waczenrodego poczynił wiele obserwacji, przeczytał wiele ksiąg, wiele korespondował z krakowskimi

przyjaciółmi. Opracował nowy katalog gwiazd stałych, wzięty co prawda od Ptolemeusza i poprawiony według tablic Alfonsa, ale zestawiony od nowa i uzupełniony najnowszymi danymi z własnych i cudzych obserwacji. Katalog ten będzie stanowił jedną z ksiąg dzieła. Miał już również gotowe dalsze szkice, które wejdą do odpowiednich ksiąg — choćby rozprawki o trygonometrii płaskiej i o trygonometrii kulistej.

Zaczął dzisiaj pisać tekst, który zaplanowany został nie tylko jako początek dzieła, miał bowiem i dla niego samego stanowić vademecum do dalszej pracy — coś w rodzaju drogowskazu i moralnej zachęty.

A pracy tej czekało go jeszcze sporo, czasu zaś nie było zbyt wiele. Dotychczasowy dorobek zawdzięczał Kopernik raczej uporowi i wytrwałości niż sprzyjającym warunkom. Pełnił przez dwa lata funkcję kanclerza kapituły i przez dłuższy czas również urząd przełożonego kasy aprowizacyjnej. Było więc co robić, choć rzadziej się teraz wyjeżdżało, raczej w krótsze podróże i nie na długo. Za to chłopci i mieszczanie coraz liczniej przybywali do jego kurii z prośbą o poradę lekarską. Udzielał jej najchętniej tym, co płacić nie mogli, wiedząc, że w ten sposób spłaca dług za swoje dostatnie, syte życie, życie bez trwogi o przyszłość.

Może najwięcej czasu pochłonięła mu w ciągu minionych miesięcy fromborskich troska o Andrzeja. Bez przerwy trzeba było wyklócać się z konfratrami, którzy chcieli go przepędzić z Fromborka. Kapituła powzięła uchwałę, na mocy której Andrzejowi nie wolno było uczestniczyć w zgromadzeniach publicznych. Wszyscy odetchnęli dopiero wtedy, gdy trędowaty ostatniej zimy wyjechał znów do Rzymu. Ale i tam jeszcze nie uspokoił się i wtrącał się do polityki tak dalece, że go król Zygmunt w gniewie wielkim karcić musiał. Chory z pewnością wszystkimi siłami i wszystkimi sposobami pragnął przekonać ludzi o tym, że jeszcze żyje i jeszcze coś znaczy.

Zabiegał zresztą o to i przed wyjazdem z Fromborka. Za nic miał wszystkie starania brata o ratowanie jego zdrowia. Nie brał przepisanych przezeń kąpeli ziołowych, jeżeli Mikołaj sam mu ich nie przygotował. Nie używał leków, jeżeli mu ich sam lekarz do ust nie wpychał. Mikołaj, walcząc z odrazą, odwiedzał go, udzielał rad, pomagał, wiedząc, że to wszystko bezskuteczne, choroba bowiem należała do nieuleczalnych. Trzeba było jednak walczyć choćby o pozory, by nie pozostawić nieszczęśliwego bez żadnej nadziei. Lecz ta nadzieja kierowała się w umyśle Andrzeja na zupełnie inne tory. Powiedział: — W Italii nabrałem choroby i jeno w Italii mogą ją wyleczyć.

Tideman Gizjusz bez pukania wszedł do komnaty Mikołaja. Przyszedł — tak jak się umówili — o zachodzie słońca. Podróżował, jak zwykle, i po powrocie pragnął zobaczyć obserwatorium, które sobie Mikołaj zbudował, ale wybrali na te oględziny moment, gdy można będzie równocześnie dokonać obserwacji astronomicznej. Na dziś właśnie miał Kopernik w planie obejrzenie kolejnej opozycji Saturna.

Twarz Gizjusza promieniała jak zwykle optymizmem. Zawdzięczał to nie tylko młodemu wiekowi — był o siedem lat młodszy od Kopernika — lecz przede wszystkim wrodzonemu wigorowi, którego nie przytłumiły w ostatnich latach nawet kłopotliwe obowiązki administratora dóbr kapitulnych.

Wyciągnął teraz po swojemu ramiona i powitał przyjaciela serdecznym uściskiem. Widocznie zobaczył coś zza jego pleców, bo po przywitaniu sięgnął po jeden z leżących na stole arkuszy i wskazując nań mówił z uśmiechem:

— A cóż to za artysta z ciebie, co na każdym kroku rysuje trzy listki błuszczu? Ponoć dawniej całe portrety umiałeś malować, a teraz jeno taki biedny kawałek flory?

Kopernik zarumienił się. Rzeczywiście, od ostatniego pobytu w Krakowie machinalnie rysował na arkuszach i księgach trójliść błuszczu — gmerk Szylingów; znak Anny — choć otrzyma-

ny wtedy medal pamiątkowy z portretem własnym i ukochanej trzymał głęboko w skrzyni schowany.

Zobaczył rysunek trójlistnej gałązki bluszczu na którejsz z otwartych ksiąg i zamknął ją prędko. Spozrzegł się jednak, że podejrzenie długo nie odpowiada przyjacielowi, więc siląc się na obojętny ton powiedział:

— Widzisz, obrazów ja teraz już nie maluję, ale ręka czasem sama do rysunku się składa i wychodzą z tego ot takie bazgroły. Co nowego? — zapytał, by zmienić temat.

— Zaraz, zaraz — mówił niespokojnie Gizjusz, wskazując na trzymane w ręku arkusze. — Nie zagaduj mnie, bo widzę tu coś nowego.

— Nic takiego, nic takiego.

Mikołaj udawał spokój, choć bardzo chciał, by przyjaciel zainteresował się rękopisem, ba, żeby go nawet przeczytał. Jego jednak nie trzeba było namawiać. Na szczęście, bo inaczej nic by z tego nie wyszło. Słońce zachodziło, lecz przy oknie można było jeszcze rozpoznać litery. Tam podszedł Gizjusz i przeglądając tekst, mówił:

— Widzę, że nowe dzieło pisać zacząłeś.

— Nie dziś. Mam już kilka luźnych szkiców, tablic i rysunków, które w całość wypadnie składać, nowym tekstem wiązać, ostateczne wnioski wysnuwać. Dziś zacząłem pisać rzecz, którą na wstępie dzieła zamierzam umieścić, bo mi ona zachętą będzie do dalszej pracy i jej porządek wyznaczy.

— To się chwali! Gratuluje! — Gizjusz szedł ku niemu, jeszcze raz go ścisnął, promieniejąc radością i entuzjazmem. — Pozwolisz przeczytać?

— Czytaj, a ja tymczasem wszystko do obserwacji przygotuję.

Majowy wieczór był chłodny, na szczęście niebo rozpogodziło się i tylko nieliczne białe chmurki płynęły po nim powoli i dostojnie, bo powietrze stało ciche, bezwietrzne. Cicho także leżało morze w Zalewie, rumieniąc się jeszcze ostatnim blaskiem

słonecznej kuli, która właśnie przed chwilą schowała się za horyzontem.

Pavimentum Mikołaja Kopernika było jego oryginalnym pomysłem. Budował je długo, własnoręcznie, z pomocą Wojciecha, zużywwszy sporo kamienia, osiemset cegieł i całą beczkę wapna. Przedtem musiał przy każdej obserwacji dać kierunek ustawienia przyrządów. Teraz miał na dobre wytyczoną linię południkową.

Był to kwadrat o czterometrowych bokach — murowany i trwale pokryty tynkiem z wapna, kamyków i piasku. Linia południkowa wyznaczona została za pomocą metalowej listwy, wmurowanej w płytę. Otaczający całość wał, po którym z jednej strony prowadziły stopnie, chronił pavementum przed liśćmi i piaskiem. Tam to ustawiał Kopernik swoje instrumenty: kwadrant słoneczny, narzędzie paralaktyczne i astrolabium. Ogromną pomocą był zegar sprowadzony do Fromborka ubiegłego roku.

Instrumenty były gotowe do poczynienia pomiarów w decydującej chwili. Wstępne pomiary zostały dokonane już poprzednio. Siedzieli teraz obaj przyjaciele pod gwieźdną kopułą nieba, jak pod dziurawym namiotem. Mikołaj objaśniał Tidemanowi zjawiska niebieskie według własnego ich rozumienia.

— Nie dziwiłbym się, gdybyś chciał ten dziurawy namiot naprawić, pocerować, połatać. Ale ty go chcesz w ogóle zerwać?

— Jeżeli chcesz, to tak to nazwij. Mnie chodzi tylko o prawdę. Chcę, byśmy wszyscy wiedzieli, jak zbudowana jest machina mundi.

Lecz go ta myśl urzekła: zedrzeć ten niebieski namiot i zastąpić go strukturą logiczną — jedyną, do niczego niepodobną, oryginalną i niepowtarzalną. Miały te sprawy i praktyczne znaczenie. Powiedział:

— Widzisz, zapomniałbym ci powiedzieć jedną rzecz. Słyszałeś zapewne, że papież Leon X wydał breve, wzywające do

reformy kalendarza. Czy sądzisz, że można to uczynić bez upórządkowania nieba? Dokładne poznanie sfer niebieskich potrzebne więc jest nie tylko dla samego ustalenia prawdy, lecz także do różnych celów związanych z naszym życiem.

— Wiem przecie. Choćby horoskopy.

— Ech — zachnął się Kopernik. — Daj spokój z tym wróżbiarstwem. Nie cierpię tego, to nie ma nic wspólnego z nauką. Ale wróćmy do kalendarza. Reforma ma być rozpatrywana na sesji soboru jeszcze pod koniec roku, może w grudniu.

— No i jakie szanse ma twój projekt, coś go posłał biskupowi Pawłowi z Middelburga, upoważnionemu przez papieża do działań związanych ze sprawami reformy?

— Toć on osobiście mnie prosił w swym liście, bym przyłączył się do tej pracy. Zająłem się w tym celu obserwacjami Słońca i Księżyca, by dokładniej wyznaczyć długość roku i miesiąca. Ale mój projekt nie spodobał się, choć zgrałem go ze świętami Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, a nawet z urodzinami Jana Chrzciciela. Od narodzin Chrystusa dzień zaczyna powiększać się, od narodzin Jana — zmniejszać. Jest to zgodne ze słowami Pana naszego, który powiedział, że trzeba, „żeby on się pomniejszał, ja zaś ażebym wzrastał”.

— I cóż na to biskup?

— Wyśmiał się z tego. I może miał rację. Nie powinienem mieszać matematyki z teologią. Bo w matematyce wszystko opiera się na faktach, a w teologii...

Mikołaj urwał. Tideman wpatrzył się weń gwałtownie, zawołał:

— No na czym? Skończ! Albo nie, nie, nie kończ!

Kopernik był znów gniewny sam na siebie, że dzielił się ze światem swymi spostrzeżeniami, zawsze narażając się albo na kpiny, albo na wydziwianie. Wracał doń gniew ten od czasu do czasu, choć go w sobie przewyciężał. Lecz to właśnie Gizjusz namawiał bez przerwy do publikowania nowej teorii.

— Miarkuj się, Mikołaju — szepnął Tideman, ochłonawszy ze wzburzenia. — Przy mnie można jeszcze to i owo powiedzieć, ale miarkuj się przed innymi, co tylko czyhają na to, by kogoś za słówko schwytać. Zresztą... Służymy ostatecznie Kościołowi i za to chleb jemy.

Zamilkli obaj na jakiś czas. Otulili się szczelniej oponczami, bo noc nadchodziła bardzo chłodna i wsłuchiwali się w namiętne kląskanie słowików. Wszystko wiązało się na tym świecie ze sprawami wiary i Kościoła, nie można było od nich uciec. Ot, choćby rok, narodzin Chrystusa, od którego niby to liczy się lata ery chrześcijańskiej. Dla niego było zupełnie jasne, że...

Zaczął mówić:

— Teologowie boją się nauki, boją się faktów. Bo cóż jest prawdą? Chyba przede wszystkim to, co oczywiste. Ot, choćby rok urodzenia Chrystusa. Musiałem w swym projekcie i tej sprawy dotknąć. Niebo jest od dwudziestu wieków pod czujną kontrolą człowieka. Chcąc dziś do czegoś dojść, trzeba do współczesnych obserwacji dołączyć tamte, starożytne. Ale musi być określony dokładny ich czas. A tu masz do czynienia z erami: rzymską, helleńską, babilońską i jeszcze innymi. A z nazwami miesięcy jaki kłopot! Specjalnie po to greki się uczyłem, by z nimi porządek zrobić. I oto wyobraź sobie, że wreszcie udało mi się ustalić kanon chronologii starożytnej, co mi ogromnie wyjaśniło wiele zagadek, tak że dziś już nie mam najmniejszej wątpliwości co do heliocentrycznej budowy świata. Ale przy tej okazji ustaliłem i inne rzeczy. Ot, na przykład, że Jezus Chrystus urodził się w czwartym roku przed początkiem ery chrześcijańskiej.

— Mikołaju! — zawołał zgorszony Gizjusz.

— A ukrzyżowany został, powiem ci dokładnie: trzeciego kwietnia trzydziestego roku.

— Mikołaju! — powtórzył Gizjusz swój okrzyk. — Przecież

era chrześcijańska rozpoczyna się od roku narodzenia Chrystusa!

— Twórcy kalendarzy, w przeciwieństwie do Chrystusa, byli tylko ludźmi i popełniali po prostu błędy.

— Ty też jesteś człowiekiem.

— A na kogo chcesz czekać, by błędy znajdował i prostował? Człowiek robi błędy i człowiek je poprawia. Prawdy trzeba szukać, omijając rafa pomyłek i niedopatrzeń. Powiem ci coś. Sam wiesz, że czytam różne księgi. W ostatnich latach ślęczałem na przykład nad „Historią kościelną” Kasjodora i „O cierpliwości” Baptysty z Mantui, ale i nad Plutarcha dziełem „O cnotach słynnych kobiet” i nad „Złotym osłem” Apulejusza. Wiesz, co przeczytałem w ubiegłym tygodniu? Nowo wydaną w Paryżu przed trzema laty „Księgę o intelekcie” Bovilla. Autor straszliwie bredzi i przyszło mi na myśl w czasie tej lektury, że żadne pobożne westchnienia same w sobie nic nie pomogą niesłusznej sprawie. Rzecz słuszna jest sędzią samej siebie i kręactwa, a rzetelność w każdej rzeczy jest pierwsza.

— To prawda, Mikołaju — westchnął Gizjusz. — Ale przyznaj, że twoje sformułowania czasem mogą przyprawić człowieka o drżenie.

Kopernik zastanawiał się przez chwilę.

— Może — przyznał. — I może dlatego niektórzy ludzie unikają mnie. Ale powiem ci, zaiste lepiej rzucać gromy, niż sypać piaskiem w oczy. A gdyby się miało przez całe życie mówić rzeczy gładkie, to lepiej wrócić do łona matki.

Zbliżała się już północ, gdy przyszedł Wojciech Cebulski niosąc w ręku półmisek nakryty płótnem.

— Ty jeszcze nie śpisz? — ofuknął go Kopernik.

— Nie, wasza wielbność. Ale niewiele mi już do snu brakuje.

— A co tam masz?

— Po kurczęciu dla obu wielmożnych panów.

Mikołaj spojrzał na niego srogo. Ten Wojtek znowu coś

musiał zbroić, dostał te kurczaki na pewno od kogoś, od kogo nie powinien ich brać.

— Co ty znówu, Wojciechu? — powiedział głośno.

— A bo to widzi wasza wielmożność, to było tak. Pamięta jegomość, służył u rybaka Piotra cioteczny brat naszej Jagny, jegomość go kiedyś widział i nawet sobie upodobał. I temu to rybakowi zmarło się w zeszłym tygodniu. I Hieronim został sam — bo tak właśnie na imię chłopcu. W chałupę po Piotrze jakiś krewniak wlaź z żoną i dziećmi, a Hieronima wypędził. Tak oto trafił on do Jagny matki. Aż dziś wieczorkiem, jak wielebni tutaj na gwiazdy patrzeli, przyszła ona matka do mnie i prosiła, czy by Hieronima do naszego domu nie oddać. Wszyscy kanonicy mają wiele służby, jeno u waszej wielbności skąpo. Ale przecie nie o to jedynie chodzi, żeby łatwiej robota w gospodarstwie szła, ale i o honor, bo to prawdę mówiąc wygląda tak, jakby wasza wielbność skąpy za przeproszeniem był i nielitościwy dla pracujących ludzi. A przecie stać waszą wielbność i na dziesięć nawet sług, a skąpy wielbność także nie jest. No i powiedziałem onej Jagny matce, że może z Hieronimem da się coś zrobić, a jak nie, to kurczaki zostaną sprawiedliwie zapłacone.

— Zostaną i tak zapłacone — powiedział Mikołaj.

— Dobrze. A co z chłopakiem?

— Weźmiemy go. I więcej mnie o honorze nie pouczaj, bo ci ciągi dam.

— Jak wasza wielbność każe.

— Ja nic nie każę, łotrze, nie wmawiaj mi. Jeżeli zaś mam coś ci kazać, to idź spać.

Wiatr ruszył konarami drzew, popędził chmurki na niebie. Słychać było monotony szum morza.

— No i jak? — spytał Gizjusz, ziewając po kryjomu.

— Już — powiedział Kopernik i wstąpił na płytę pavimentum. — Chodź, pokażę ci, na czym rzecz polega.

O pokój i miłość

— Chętnie zredaguję w imieniu kapituły taką petycję do najjaśniejszego pana króla Zygmunta, bo bezkarna bezczelność Krzyżaków przechodzi wszelkie granice. Wypadków naruszania granic Warmii, grabieży i bandyckich napadów jest jeszcze więcej. Czcigodni konfratry nie wszystkie tu wymienili. Przypomnę ich kilka, celem uzupełnienia materiałów faktycznych. Otóż wasal Zakonu nazwiskiem Hildebrand ogłosił się wrogiem elblązan i naszej kapituły, bo niby go ktoś obraził. Z pomocą swego pana feudalnego, brata hrabiego Wilhelma von Eisenberga, znanego z pamfletu przeciwko świętej pamięci panu naszemu Łukaszowi Waczenrodemu, zorganizował napaść na nasze ziemie. Zbóje ci obrabowali najprzód kupców na drodze do Elbląga, a potem pod Melzakiem napadli na dwóch naszych konfratrów, jadących do Fromborka, którzy tu między nami siedzą i nie zabrali głosu zapewne dlatego tylko, że już swego czasu składali zeznanie do protokołu. Ci sami, podjudzeni przez Hildebranda i Eisenberga bandyci, z których dwóch zostało już zresztą ściętych w Elblągu podczas publicznej egzekucji, poczynili mnogo innego jeszcze zła i czyniliby je dalej, gdyby nie kupiec elbląski, Mikołaj z Tolkmicka, który jadąc z targu spotkał ich w lesie i został ograbiony, lecz poprzysiągwszy zemstę odnalazł sprawców, a dwóch zdołał schwytać i odstawić do Elbląga. Na tegoż kupca zaczął urządzać zasadzki pewien szlachcic, niejaki Hipolit Wedil. Ogłosił on, że straceni byli jego krewnymi, więc będzie szukał na elblązanach pomsty za ich śmierć. Na czele siedmiu uzbrojonych jeźdźców napadł Mikołaja z Tolkmicka na

drodze z Ornety do Braniewa, pociął i pokłuł go, a zrabowawszy wszystkie jego towary i pieniądze zbiegł pod schronienie Zakonu. Jednakże zobaczyli to chłopci okoliczni i część ich zawiozła zmasakrowanego kupca wozem do Ornety, a część pomknęła z meldunkiem do burgrabiego w Melzaku. Ten, zebrawszy uzbrojonych ludzi, popędził świeżymi śladami i naszedł rabusiów przy podziale łupów. Zbóje zostali pozabijani, tylko schwytany żywcem Wedil siedzi w więzieniu w Lidzbarku. I wyobraźcie sobie, dostojni konfratry, że wielki mistrz Albrecht żąda uwolnienia takiego zbója. Ale niechaj rozstrzygnie to król nasz miłościwy, do którego list zleciliście mi zredagować. Powtarzam, uczynię to chętnie, lecz postawię wpierv warunek. Chodzi o rzecz, o której już przedtem mówiłem: o podjęcie kroków w celu obrony ziem naszych przed rozbójnictwem. Nie możemy liczyć na samego tylko najjaśniejszego pana, musimy liczyć przede wszystkim na siebie. Ja wiem, że kosztować to będzie, ale na bezpieczeństwo naszych poddanych i nas samych nie wolno żałować pieniędzy. Zanim jednak podejmiemy decyzję co do tego, jakie środki przedsięwziemy, proponuję ustalić stan naszego skarbcza. Precyzuję więc wniosek: by nasi czcigodni konfratry — dotychczasowy administrator Tideman Gizjusz i obecny administrator Krzysztof Suchten sporządzili w obecności wikariusza generalnego inwentarz naszego skarbcza w Olsztynie. Czcigodny wikariusz generalny Baltazar Sztokfisz pojechałby w tym celu z czcigodnym Tidemanem Gizjuszem do Olsztyna i natychmiast po powrocie stamtąd przedstawiliby inwentarz na posiedzeniu kapituły. Wiedząc, ile możemy wydać na cele obronne, podjęlibyśmy decyzję. A ja na tym samym posiedzeniu mogę przedłożyć projekt naszej petycji do króla polskiego.

Wyrzekłszy te słowa Mikołaj Kopernik rozejrzał się po zebranych. Widział życzliwe spojrzenie Gizjusza, a probujący gest starego Sztokfisz, mniej wyraźne miny obu Ferberów, Skulte-

ta, Biszofa, Snellenberga i Krapica. Po chwili jednak okazało się, że poza nieśmiałymi wyrazami zwyczajnego asekuranctwa i sknerstwa nie miał nikt żadnych zastrzeżeń. Dalszej dyskusji prawie już nie było, jedynie Gizjusz i Maurycy Ferber wypowiedzieli się za wnioskiem Kopernika, a Sztokfisz wyraził zgodę na natychmiastowy choćby wyjazd, jeżeli kapituła wnioski zatwierdzi. Wyczuwało się atmosferę napięcia i lęku przed krzyżackimi nadużyciami, które każdej chwili mogły dotknąć każdego z obecnych.

Nic dziwnego więc, że kroki zostały przedsięwzięte, Gizjusz i Sztokfisz otrzymali polecenie i postanowili naza jutrz wyruszyć w podróż, by wrócić za jakieś pięć dni. Kopernikowi polecono zredegować petycję. Posiedzenie zostało zamknięte.

Gdy Mikołaj z Tidemanem wyszli na dziedziniec, żar buchał z nieba. Lipiec był tego roku upalny ponad zwykłą miarę. Szli teraz spacerem w cieniu pachnących lip, rozbrzmiewających pszczelim tłumem. Liście drzew mdlały z upału, matowiejąc i więdnąc. Na ziemi pokładały się ze znużenia żdźbła traw. Takie gorąco nieczęsto zdarzało się nad Zalewem Wiślanym.

Mikołaj i Tideman szli ocierając pot z czoł i zamiast szukać wytchnienia i zapomnienia od codziennych trosk, wrócili w rozmowie jeszcze raz do sprawy krzyżackiej.

— Straszne, do czego to dochodzi — powiedział Gizjusz. — Niedługo nas tu na miejscu, w naszych kuriach, poczęstują ci zbóje nożami. Albrecht zaczyna od Warmii, ale myśli o zagrabieniu całych Prus Królewskich. Chyba Najjaśniejszy Pan to powinien zrozumieć. Musisz tylko w tym piśmie dosadnie wszystko wyłożyć.

— Bądź spokojny. Mnie najbardziej zależy na tym, by ład zapanował w kraju. Pracowałem przez cztery lata dość spokojnie, posunąłem się dosyć daleko w zbieraniu materiałów do podbudowania swej teorii i nawet w pisaniu samego dzieła. Jeżeli nie zapanuje spokój, to koniec mojej pracy. Tak więc zmuszeni

jesteśmy wszyscy zająć się intensywniej sprawami publicznymi nie tylko ze względu na ogólne dobro, lecz również ze względu na osobiste zamierzenia każdego z osobna. No cóż, ja gotów jestem służyć, choć po trochu lęk mnie ogarnia na myśl, że od listopada będą musiał — tak jak to niektórzy już wróżą — zostać administratorem. Nie będę opierał się, gdy taka będzie wola kapituły, choć przyjdzie mi w Olsztynie od nowa dostrzeżenie gwiazd urządzać.

Pożegnali się przed jego domem. Mikołaj życzył przyjacielowi szczęśliwej podróży i otarłszy pot z czoła poszedł w słoneczny skwar, poszukując w drodze schronienia w strzępkach cienia. Gdy wszedł do izby, opadł bezwolnie w fotel. Wzrokiem tylko wodził po zarzuconym księgami i papierami stole. Były wśród nich również ostatnie listy. Bartłomiej Gertner — Kasi mąż — donosił z Torunia o sprawach związanych z podziałem kwoty spadkowej po Łukaszu Waczenrodem. Anna pisała z Krakowa o projektach Macieja przeniesienia się do Torunia. To wspaniałe! O ileż bliżej siebie byłiby wtedy...

Szkic petycji do króla postanowił sporządzić rano, o świcie, gdy jeszcze miły chłód będzie panował dookoła.

Słońce ledwie wzeszło, ptaki prześcigały się w śpiewie, a Mikołaj pisał:

„Najjaśniejszy i najmiłościwszy władco,
Królu i Panie Najłaskawszy.

Często już chcieliśmy uzalić się przed Tobą, Najjaśniejszy Panie, na krzywdy nasze, lecz wstrzymywała nas jakaś nieśmiałość nasza i majestat dostojnego imienia Twojego, do któregośmy powinni zawsze zwracać się raczej z wyrazami czci aniżeli ze sprawami. Teraz jednak i trudne położenie nasze i niegodziwość zaszłych wydarzeń, a także sam honor Waszego Majestatu zmuszają nas naprzykrzać się naszymi żalami i błą-

ganiem Waszej Miłości, zajętej już skądinąd ważniejszymi sprawami. Nie jest to bowiem tajne, jakich obelg doznajemy już przez siedem pełnych lat od zbrodniczych i zuchwałych ludzi przez to, że zarówno my, jak i nasi poddani jesteśmy nękani ogniem i mieczem, napadami i rozbojami od coraz to wzrastającej liczby wrogów, że sami nawet jesteśmy uprowadzani w niewolę, tak iż jednej godziny bezpiecznie nie mieszkamy w domach naszych, które leżąc wśród otwartego pola, wystawione są na ich pożądanie, a nawet przybytek Boży i świętości ledwo od zbezczeszczenia chronimy, że wreszcie prawie nie wolno nam bezkarnie wymierzać samym sobie sprawiedliwości, której od innych tylko rzadko doświadczamy.

Z czyżej zaś podniety te nieszczęścia tak wzrastają, to już skądinąd, jak sądzimy, Waszej Królewskiej Mości jest znane; wiadomo bowiem równie dobrze, gdzie tych rozbójników dotychczas wspierają, gdzie się oni na nas zbroją, dokąd się ze zdobyczą chronią. Myśmy to dotychczas znosili cierpliwie, ponieważ poświęciwszy się stanowi duchownemu mniej mamy doświadczenia w rzemiośle wojennym. Jednak ponieważ na walnym sejmie w Elblągu świeżo zapadła była uchwała, że wszyscy mają chwycić za oręż przeciwko tej pladze, ażeby ją wyplenić, i ponieważ zrozumieliśmy, że to jest postanowione edyktem Waszej Królewskiej Mości, nie uchyliliśmy się od obowiązku, lecz owszem, pierwsi staliśmy się mścicielami tak wielkich zbrodni.

Albowiem gdy na początku tego miesiąca na naszej ziemi ośmiu rozbójników napadło na publicznej drodze pewnego poddanego Waszej Królewskiej Mości, obywatela miasta Elbląga, i odciawszy mu obydwie ręce obrabowało go z wielkiej majątności, burgrabia nasz, zebrawszy pośpiesznie małą garstkę naszych poddanych, wkroczył nieustannym marszem prawie sześć mil w głąb terytorium Zakonu za śladami owych okrutnych rozbójników, napadł na nich wpierw, niżby się po domach rozpro-

szyli, zajętych podziałem łupu w pewnym lesie bagnistym; schwytawszy zaś jednego spośród nich, szlachcica rodem z Marchii (inni bowiem ucieczką się ratowali), przyprowadził go tutaj wraz z całą zdobyczą, z końmi i uzbrojeniem samychże rozbójników, uprosiwszy wpierw i zyskawszy zezwolenie owego rycerza, któremu podlega tamta okolica. Ten jednak, chociaż pozwolenie nie było tym razem potrzebne, już nie tylko użalał się, że doznał krzywdy (bo widzi może, że ta sprawa także jemu samemu niebezpieczeństwem zagraża), lecz i komtur w Bałdze, a nawet sam dostojny p. Mistrz, nie dość że żąda, lecz także usilnie się stara, by owego schwytanego rozbójnika z całą uprowadzoną zdobyczą odstawić do Bałgi, którą to sprawę Najprzewielebniejszy nasz biskup Waszej Królewskiej Mości szerzej przedstawił. Z tego powodu rabusie już zuchwalej aniżeli przedtem podnoszą przeciwko nam głowy i jak poprzednio zagrażali miastom, teraz wszyscy przeciwko nam się zwróciwszy wszelaką prowokacją, różnymi obelgami i częstymi pogrózkami nas napastują. Następnie widzimy także, iż ze strony wielkiego mistrza grozi nam już prawie niebezpieczeństwo i przemoc, której nie mamy sposobu odeprzeć, ponieważ naszym zajęciem jest modlić się, a nie walczyć: chyba że przyjdzie nam z pomocą Wasza Królewska Mość z wrodzoną swą łaskawością, do której z tym większą ufnością zwrócić się nakłania nas z jednej strony niewinność naszej sprawy, a z drugiej niebezpieczeństwo naszego Kościoła, który w Waszej Królewskiej Mości ma i zawsze miał najszlachetniejszego opiekuna.

Toteż uniżenie Wasz Majestat zaklinamy i błagamy, racz królewską swą mądrością i stanowczością zapobiec tym zbrodnicyz usiłowaniom, bezpieczeństwo Kościoła naszego i nasze, zagrożone w sposób oczywisty, otoczyć Swoją opieką i obroną, ażebyśmy mogli zarówno służbę Bożą, jak i nas samych, którzy nie ustajemy w modlitwach o pomyślny stan dostojnego królestwa Twojego, lepiej zachować w cieniu wzniosłych cnót

Twoich, ofiarując wierne nasze usługi i samo życie nasze Waszej Królewskiej Mości, którego czcimy jako najłaskawszego Pana naszego, kornie mu się polecając.

Z Warmii dnia 22 miesiąca lipca 1516.

Waszego Najmiłościvszego Królewskiego Majestatu uniżeni i oddani kapelani.

Kapituła Warmińska” *.

Gdy Kopernik odłożył pióro, była akurat pora rannego nabożeństwa.

Administrator

Kopernik z Cebulskim obchodzili zamek po stronie zewnętrznej, by z pewnego oddalenia tym lepiej móc ocenić jego warowne zalety. Wojciech był teraz prawą ręką administratora dóbr kapitulnych, którym Mikołaj został jeszcze pod koniec jesieni, w listopadzie. Do załatwiania spraw domowych wystarczał Hieronim, jego bowiem też zabrano do Olsztyna, w kuchni zaś królowała Jagna.

Przez całą zimę Kopernik z Cebulskim porządkowali sprawy gospodarcze i administracyjne, równocześnie przygotowując nową dostrzegalnię w zamkowym krużganku. Sporo czasu zeszło na kompletowaniu czeladzi i urzędników, a także na objędziu dóbr olsztyńskich. Rozpasanie wielkiego mistrza Albrechta osiągnęło szczyt. Praktycznie przestał być lennikiem króla polskiego, a stał się jego jawnym wrogiem. Rozpoczął otwartą wojnę z Polską, spiskując przeciw niej z Habsburgami i z Moskwą.

Żadne podejmowane przez Zygmunta I środki polityczne nie uspokajały Kopernika, choć prawdę mówiąc, na Habsburgów Albrecht nie mógł już liczyć od czasu, gdy przed dwoma laty na zjeździe w Wiedniu Zygmunt zawarł z cesarzem Maksymilianem układ dynastyczny, przypieczętowany małżeństwem dzieci Władysława Jagiellończyka z wnukami cesarza. Zygmunt zrezygnował z wszelkich praw do Czech i Węgier, w których panował Jagiellończyk. Po wygaśnięciu najstarszej linii jagiellońskiej Czechy i Węgry miały przypaść Habsburgom. W zamian za to cesarz obiecał nie wspomagać wrogów Polski. Wyglądało więc na to, że ma ręce związane i nie udzieli pomocy

Albrechtowi. Ale Krzyżakom nie można było wierzyć w żadnej sytuacji, zresztą ich napaście na Warmię nie ustawały.

— Powiem waszej wielbności z ręką na sercu — ozwał się Wojciech po pierwszych oględzinach zamku. — Zamek olsztyński nie tak okazały jak lidzbarski, ale bardziej warowny. Na moją głupią głowę jest nawet najlepiej ufortyfikowany ze wszystkich zamków istniejących na Warmii.

Mikołaj objął budowlę wzrokiem: rzeczywiście przemyślnie skonstruowana, można w niej mieszkać i czuć się bezpiecznie. Administratorowi podlegały razem z zamkiem dwa z trzech należących do kapituły komornictw, melzackie i olsztyńskie.

Wojciech miał rację. Zamek wznosił się nad rzeką Łyną, brończącą go od zachodu. Od wschodu opływała głęboka fosa, nad którą zwodzony most prowadził do ostrołukowej bramy, wiodącej na dziedziniec. Budowla składała się z dwóch skrzydeł: północnego i południowego, połączonych od strony wschodniej i zachodniej potężnym, dziewięciostopowej grubości murem. Skrzydła mieszkalne były wysokie, nakryte spadzistym dachem, pod którego krawędzią biegły kryte ganki, przeznaczone na cele obronne, z małymi okienkami strzelniczymi. W galerie strzelnicze wyposażone były także mury.

— Widzi mi się, że najważniejsza sprawa dozbroić się — powiedział Cebulski.

To lapidarne stwierdzenie było jedyne właściwe. Kopernik przytaknął: — Masz rację. — Po chwili dodał: — Chodźmy do dostrzegalni, mam ci tam jeszcze coś do polecenia.

Przeprowadzka do Olsztyna oznaczała rozbrat z mozołnie swego czasu budowanym pavementum, a także z ruchomymi instrumentami, a przede wszystkim z kwadrantem, którego w nowej siedzibie nie byłoby po prostu gdzie ustawić. Należało więc wynaleźć jakieś nowe urządzenie.

Mieszkanie administratora mieściło się w zachodniej części północnego skrzydła zamku, od strony rzeki. Jego środek zaj-

mowała wielka sala. Dalej, od wschodu rozmieszczono mieszkania burgrabiego i kapelana. Tam też były pokoje gościnne. Do podwórza przylegał otwarty, ostrołukowy krużganek. Jego zachodnią część zamurowano i przyłączono do mieszkania administratora. Krużganek przecięty był jednotraktowymi schodami, prowadzącymi na wyższe piętro. Pod schodami, nad wejściem do swych komnat, w cichym zakątku sporządził Mikołaj nowy instrument. Dużą połąć ściany wewnątrz krużganku, tuż pod sklepieniem, pokryli z Wojciechem świeżym tynkiem i wygładzili starannie. Na niej to nakreślił grafitem, a potem pociągnął italskimi farbami linie hiperboliczne, w ten sposób powstała słoneczna tablica obserwacyjna. W drewnianej ramie na zewnętrznym parapecie okiennym osadził lusterko, które posyłało promień słońca na ścianę. Przy pomocy tego przyrządu obserwować mógł wiosenne i jesienne równonoc.

Po ustawieniu przyborów, sporządzeniu tablic słonecznych i przeprowadzeniu wielu obserwacji powrócił wreszcie do swego dzieła. Zaczął od ponownego przejrzenia notatek i uporządkowania ich. Książka jego miała objąć całą wiedzę o astronomii, zawrzeć zarówno rzeczy znane, jak i nowo przez niego odkryte prawdy.

Rozpoczął wykład od rozważań nad kształtem Ziemi, po czym przeszedł do stwierdzeń dotyczących ruchu ciał niebieskich, które są kołowe. Gdy to pisał, do komnaty wszedł Hieronim. Chłopak stał cierpliwie przy drzwiach i czekał. Kopernik przywołał go gestem ręki i powiedział życzliwie: — I cóż nowego?

— Ano proszę waszej wielbności, przyszedł sołtys z Sząbruka, powiada, że Jorge się nazywa, a wasza wielbność kazał mu, żeby w razie czego przyszedł. To on i przyszedł, bo uciekł jakiś chłop, co go wielbność przed dwoma miesiącami na ziemi osadził, a znalazł się inny, który ziemię po nim chciałby dostać.

— Dobrze, Hieronimie. Powiedz sołtysowi, by wracał do domu, a ja dziś jeszcze w Sząbruku będę.

Mikołaj zamknął oczy i dłońmi twarz zakrył. Biedna ta ziemia, nękana przez najeźdźców. Trudno było ściągać na nią osadników, nawet starzy czasem z niej uciekali. I nie pomogą żadne ulgi dawane im przez kapitułę, póki pokój nie zapanuje.

Chłopom na Warmii powodziło się dobrze. Byli przeważnie wolni. Przywilej lokacyjny gwarantował każdemu z nich prawo dziedzicznego użytkowania gruntu w zamian za czynsz wymierzany od liczby łanów. Inne świadczenia nie były też uciążliwe, często stosowano ulgi od nich. Brakowało tylko spokoju, który by dawał poczucie bezpieczeństwa.

Kopernik wstał, sięgnął po księgę lokacyjną, odnalazł zapissek, poczyniony w Sząbruku 2 marca 1517 roku. Została przez niego zalegalizowana transakcja między Hansem Smithem a Cosmannem. No tak, to ten Cosmann uciekł. Kto teraz obejmie ziemię i jak długo będzie na niej gospodarzył?

Sołtys przyjął dostojnego gościa wylewnie i uroczyście, choć już nie tak oficjalnie — chlebem i solą — jak za pierwszym razem w marcu. Przyjął go na granicy wsi, ubrany w odświętną sukmanę, otoczony żoną i dziećmi, a za nim zebrała się ludzi garstka, zapewne tych, którzy do administratora prośby i żale zgłosić chcieli. Wyglądali ubogo, wychudzeni i licho odziani, choć Sząbruk był wsią stosunkowo zamożną i stosunkowo bezpieczną przed napaściami Krzyżaków. Mikołaj wiedział, że gdzie jak gdzie, ale tu chłopi przed czym innym raczej uciekali. Byli to przeważnie ludzie pochodzenia niemieckiego, buntowani z daleka przez Krzyżaków i straszeni przez nich pomstą za służbę władcom podległym polskiemu królowi. Toteż najchętniej Kopernik nadzielał ziemię chłopom przybywającym z północnej części Królestwa Polskiego i Księstwa Mazowieckiego.

Administrator kazał ustawić stół i ławę na środku wsi, pod rozłożystą lipą. Nie pogardził poczęstunkiem i siadłszy z Hieronimem do stołu zjadł pieczeń z zająca i popił słodkim winem

z jablek. Po czym przystąpił do najważniejszej czynności urzędowej.

Sołtys na miejsce zbiegłego Cosmanna zgłosił Marcina. Był to chłop dość młody i silny, wyglądał statecznie. Mikołaj zapytał go:

— A ziemię uprawiać i inwentarz hodować potrafisz?

Chłop padł na kolana, zapewniał błagalnym głosem: — Potrafię, co nie mam potrafić, jaśnie wielmożny panie. Przyszedłem ja tu za krewnymi z Puszczy Zielonej, bo tam ziemia licha i las ją stale zasiewa. Wszyscy mogą poświadczyć, że moi krewniacy dobrze tutaj gospodarzą, a krewniacy zaręczą za mnie, jaśnie wielmożny panie.

Administrator uczynił w aktach zapis, mocą którego Marcin otrzymywał dwa łany oraz dość znaczny inwentarz pozostawiony przez uciekiniera: trzy konie, dwie krowy, cztery świny, wóz bez żadnej wolnizny jednakże, za poręką sołtysa Jorgego i Andrzeja z Dorotowa. Poręczyciele zobowiązali się w razie zbiegostwa użytkownika objąć gospodarstwo wraz ze wszystkimi obciążeniami do czasu osadzenia następcy.

Przed obliczem Mikołaja zaczęli stawać kolejno inni ludzie ze swymi żałami i troskami. Chodziło o drobne spory graniczne, kłótnie sąsiedzkie, wiana dla wydawanych za mąż dziewcząt.

Przez cały czas stał z boku — tuż obok Kopernika — stary, siwy, brodaty chłop, który wystąpił dopiero jako ostatni, gdy już było widać, że sprawy się skończyły, a słońce zachodzić zaczęło. Chłop skłonił się do pasa i rzekł:

— Ja tu zamawiam choroby, jaśnie wielmożny i wielebny panie kanoniku. Ale słyszę, że zajmują się tym też ludzie uczeni i że wielebność też; spróbujemy, czy sztuka wielebności lepsza od mojej. A może będzie i ratunek dla biednej dziewczyny. Jest tu taka, co od dwóch lat nie widzi. Robiłem wszystko, co można, przed paru dniami nakazałem kąpiele w oparach szałwi. Czy wielebność raczy chorą obejrzeć?

Mikołaj zgodził się. Nakazał Hieronimowi siodłać konia, by po zbadaniu dziewczyny i zjedzeniu szybkiego posiłku ruszyć jeszcze przed wieczorem w drogę i przed zupełną ciemnicą dobrać do głównego traktu, wiodącego do Gietrzwałdu.

Dziewczyna mieszkała przy rodzicach w mizernej chatce. Weszli obaj do smrodliwej sionki, z niej do kuchni pełnej pary, pachnącej rzeczywiście szałwią. W pierwszym momencie Mikołaj niczego nie potrafił dojrzeć; w słabo oświetlonym pomieszczeniu para przesłaniała wszystko. Dopiero po chwili ujrzał na środku kuchni nad drewnianą dzieżą nagą dziewczynę, z głową wzniesioną w górę, poruszającą ramionami jak ptak w locie.

— Mamo, to ty? — szepnęła niewidoma w pewnej chwili drżącym głosem i dłońmi przesłoniła piersi.

Kopernik bez słowa podszedł do ławy, na której leżało lniane prześcieradło. Wziął je do rąk i zarzucił na barki dziewczyny. Ogarnęła się nim z wyraźną już teraz trwogą. Wtedy Mikołaj powiedział spokojnie:

— Nie bój się, dziewczyno, jestem lekarzem.

Krzyknęła z popłochu i cofnęła się. Tymczasem zbliżył się stary człowiek i widząc, co się dzieje, powtórzył:

— Nie bój się Mario, to ja. A ten obcy, to uczony kanonik z Olsztyna, który jest lekarzem.

— Boże, jak ja zgrzeszyłam! — zawołała Maria zasłaniając twarz dłońmi.

Ale starzec już był przy niej, już ją objął i posadził na ławie. Była mu bezgranicznie posłuszna i uległa. Wtedy Kopernik tylko na chwilę zbliżył się do niej i objawszy wzrokiem piękne rysy twarzy, spojrzał jej w oczy. Po czym skierował się ku drzwiom.

— Wystarczy — powiedział. — Mario, bądź posłuszna temu człowiekowi. On cię dobrze leczy.

Siedziała na ławie skulona, strwożona, jak zagonione zwierzątko.

— To jest nieuleczalna ślepotą — powiedział Mikołaj. — Rób z nią, starcze, co uważasz za stosowne, byleś jej tylko nie zaszkodził — powiedział do starca po wyjściu z chaty.

Gdy potem wracali konno do Olsztyna przez ciemny bór, w którym widać było jedynie szarzejący pas zachmurzonego nieba, przymknął oczy i przywołał do pamięci białą kibić niewidomej dziewczyny. Wyobrażał sobie, że jest ona Anną z Torunia, że jest kolejno krakowską i lidzbarską dziewczką, bolońską kurtyzaną, a wreszcie — Martą i Anną w jednej osobie. Potem — ujechawszy kawał drogi — otwierał oczy i odpędzał te obrazy.

— Wasza wielbność myśli pewnie o gwiazdach, a one za chmurami — zagadał go nagle Hieronim.

Mikołaj wpatrzył się w profil jego twarzy. Był ten profil jeszcze chłopięcy, a w głosie sługi brzmiała naiwna wiara w mądrość pana. A ja jestem taki bezradny, mój rozum jest taki ograniczony — pomyślał Kopernik. Lecz głośno powiedział:

— Masz rację, Hieronimie. Ja najczęściej myślę o rzeczach, które są za chmurami. O rzeczach niedosiężnych. Ale tak trzeba, to zmusza do posuwania się coraz dalej, coraz wyżej, aż do tronu samego Boga.

Twierdza w Olsztynie

To było już ponad ludzkie siły, lecz Kopernik trzymał się w garści, bronił się przed zaśnieciem. Wieść przyniesiona przez gońca spowodowała nowy napływ energii.

— Wiadomości są już teraz ściśle. Rekapitulujmy więc. Swoją nową wyprawę rozpoczął Albrecht piątego stycznia. Wywiódł z Królewca cztery tysiące piechoty, sześćset ciężkiej i czterysta lekkiej jazdy oraz całą artylerię. Przez Braniewo szedł na Ornetę, a stamtąd pomaszerował na Dobre Miasto, wokół którego jedenastego stycznia rozłożył obóz. W cztery dni później szerokim łukiem przez Jeziorany i Wartembork ruszył na Olsztyn. Może tu być jutro wczesnym ranem, ale podejście chyba dopiero o jasnym dniu, bo będzie się bał zasadzki.

— Jak zachowują się wojska po drodze? — spytał Mikołaj.

— Siedem wsi nieprzyjaciel zniszczył ogniem, proszę waszej wielbności. Jeziorany też spalił. Poczyna sobie dokładnie tak samo, jak zawsze sobie poczynał — powiedział goniec siląc się na spokój.

Siedzący dookoła stołu spojrzeli po sobie. Kanonik Henryk Snellenberg bezradny wzrok zatrzymał na Koperniku. Burgrabia Drochwicz opuścił oczy na płytę stołu i bębnił po niej palcami. Snellenberg wyszeptał: — Trzeba coś począć.

Kopernik oświadczył gniewnie:

— Waszmość wiesz, że poczynaliśmy już dawno i poczynamy do dziś dnia.

— Jesteśmy gotowi do obrony na tyle, na ile nas stać — uzupełnił burgrabia. Na jego twarzy malowała się duma ze speł-

nionego obowiązku. — Ale radźcie, waszmościowie, co jeszcze można uczynić.

— Nic — powiedział twardo Kopernik. — Czynię starania w Elblągu, lecz jak dotychczas bezskutecznie. Ostatniego dnia starego roku pańskiego tysiąc pięćset dwudziestego napisałem list do naszego konfratra, czcigodnego Jana Skulteta — archidiakona warmińskiego w Elblągu — z prośbą o zakup hakownicy i ołowiu, a przy okazji soli i papieru, lecz do dziś nie ma odpowiedzi. Brak też odpowiedzi na drugi, przed kilku dniami wysłany list. Takie są widać losy poczty w czas wojny. Wydaje się, że byłoby najlepiej, gdyby czcigodny nasz konfrater, Snellenberg, pojechał osobiście do Elbląga i tam hakownicy zakupił. Nie możemy z tym dalej zwlekać.

Snellenberg spojrział nań z przerażeniem w oczach.

— Ależ czcigodny panie administratorze! — zawołał. — Ja jeden z całej kapituły ostałem się w Olsztynie, nie uciekłem w popłochu...

— Ja też — przerwał mu Mikołaj. — Ja też nie uciekłem.

— To prawda — przyznał tamten. — I z pewnością musi tu być co najmniej dwóch przedstawicieli kapituły.

— Przyznaję — powiedział Mikołaj łagodniej. — Ale czy możemy w tak ważnej sprawie posyłać kogoś innego?

— Chętnie bym ja pojechał — wtrącił burgrabia. — Ale rzeczywiście nie mogę, muszę tu pozostać bezapelacyjnie.

— Waszmości nie zwolnię.

Kopernik i Snellenberg zwarli się spojrzeniami. Ten ostatni tłumaczył błagalnym głosem:

— Przecież nie ma drogi. Którędy chcecie mnie wyprawić?

— Poczekamy do jutra, zobaczymy, co zrobią Krzyżacy. A potem drogę znajdziemy. I asystę także — dodał uspokajająco.

Zapadło milczenie. Świece dopalały się znowu, ich płomyki chybotwały rzucając złowrogie cienie na ściany sali.

— Czy są jeszcze jakieś polecenia, wasza wielbność?

— Trzeba, wzmocniwszy strażę, położyć się do snu — powiedział Kopernik. — Poprzednią noc spędziliśmy prawie bezsen-
nie. Jest już pewnie po północy, mamy przed sobą tylko cztery
godziny snu. Powiedźcie, proszę, mości burgrabio, mojemu Woj-
ciechowi, by troskliwie zajął się posłem.

— Dzięki, wasza wielbność — skłonił się goniec.

— No dobrze, naradzimy się jeszcze rano. Przez noc od Krzy-
żaka mamy spokój. Dobranoc, waszmościowie.

Pozegnali się. Snellenberg wymykał się skulony, cichy. Miko-
łaj poszedł prosto do swej komnaty. Zastał Hieronima śpiącego
u progu w pozycji siedzącej, na zydelku. Chłopak przetarł oczy,
ziewnął, zachwiał się ze zmęczenia. Mikołaj odesłał go, uprze-
dził, że obaj z Wojciechem zostaną zbudzeni po pierwszym
pianu kogutów. Zrzucił z siebie odzienie, zdmuchnął światło
i położył się. Ale długo trwało, nim zasnął.

Oto doczekał się najgorszego. Z astronoma los uczynił go już
nie zarządcą tylko, już nie politykiem, ale po prostu żołnierzem,
ba, prawie dowódcą, bo przecież miał władzę nad burgrabią
i całą załogą zamku. Doświadczał go ten los srodze. Przed trze-
ma laty pogrzebał siostrę — księżę cystersek z Chełmna —
Barbarę. W tamtym roku zmarł w Rzymie brat Andrzej, któ-
rego odejście ulgę co prawda przynosiło i jemu, i kapitule, jed-
nakże było ciosem, jak każda śmierć. W tym samym mniej wię-
cej czasie — również w Rzymie — pochowano Bernarda
Skulteta. Anna w Krakowie niepokoila się wojną, pisywała
rozpaczliwe listy, w ostatnim zapowiadała, że chyba wstąpi do
klasztoru. Cóż było robić? Za mąż za nikogo innego nie chciała
iść, a sprowadzić jej tu nie było można.

Życie polityczne wrzało, odciągało od obserwacji astrono-
micznych, od lektur, od kontynuowania dzieła. Coraz to głoś-
niejsze w całych Prusach stawały się dyskusje nad sprawami
monetarnymi. Mikołaj, mając wykształcenie prawnicze, a poli-

tyczne i ekonomiczne doświadczenie, zabierał głos na ten temat na zjazdach i naradach. Wreszcie stany pruskie poprosiły go, by sformułował tezy, które w swoim czasie zostaną na należytym forum przedłożone.

Opracowywał więc w wolnych chwilach rozprawę o monecie, ale w tych niespokojnych czasach okazała się nikomu niepotrzebna.

Zza okna dochodziły czasem okrzyki — to zmieniano strażę, wzmacniano je. Otwierał oczy, na ścianach migały słabe błyski od niesionych gdzieś daleko pochodni. Zamykał oczy i rozmyślał:

Są cztery mennice na ziemi pruskiej: w Toruniu, Elblągu, Gdańsku, Królewcu. Gdyby była piąta w Olsztynie, a w niej Maciej Szyling... Ach, płaczą się myśli... Każdy bijący monetę chce ciągnąć z tego zyski przez nieustanne przetapianie monet na coraz gorsze, o coraz mniejszej zawartości srebra. Jakież fatalne skutki i dla państwa, i dla ludności! Zarządca kraju, postępujący w ten sposób, czyni jak skąpy rolnik, który sieje nasienie złe, by oszczędzić dobrego, a wtedy złego jest jeszcze więcej, niż zasiał. Należy wyznaczyć jedną mennicę, bić w niej monetę w imieniu całego kraju, a nie w imieniu jednego miasta.

Lecz cóż warte całe rozważanie takie, jeżeli napisanej rozprawy nie ma komu przedstawić, a na świecie szaleje wojna. Nie można przedstawić choćby nawet kapitule! Po najeździe krzyżackim na Frombork prawie wszyscy kanonicy przenieśli się do Olsztyna. Zniszczenia były duże, kuria Mikołaja także została ciężko uszkodzona, może dziś i po pavementum śladu nie ma. Przez cały prawie rok kanonicy siedzieli na olsztyńskim zamku i kapituła odbywała tu swe posiedzenia. A teraz wszystko się rozproszyło, został tylko ten Snellenberg — nie najpożyteczniejszy z ludzi, choć sympatyczny i przyjazny.

Wojna! Krzyżacy zawsze okazywali się silni, Warmia słaba. Zdarzały się zdrady. Czasem miasto przez jednego złego czło-

wieka dostawało się na pastwę wroga. W Braniewie zdrajcą tym okazał się syn Łukasza Waczenrodego, Filip Teszner, któremu ojciec postarał się o urząd burmistrza. To wtedy Mikołaj Kopernik i Jan Skultet udali się do Braniewa jako posłowie biskupa warmińskiego i Albrechtowi pismo ostrzegawcze przedłożyli.

Wspomniał też Mikołaj opowiadanie starego rajcy braniewskiego o podłości Tesznera. Filip już przed nadejściem wroga namawiał rajców, by wpuścili wielkiego mistrza do miasta, ale ci nie dali się nakłonić do zdrady. Lecz niewierny burmistrz dopiął swego, osobiście otwierając nocą bramę obcym wojskom. Kiedy nazajutrz podczas procesji Albrecht wszedł do kościoła, z grupy nielicznie zgromadzonych w nim starców wysunął się zdrajca i w ukłonach zaczął głosić powitanie. Albrecht zbywał to pogardliwym milczeniem. A gdy Filip zwrócił nań niespokojny wzrok, wielki mistrz żelazną rękawicą uderzył go w twarz. Taką hańbę ściągnął na siebie rodzony syn wielkiego Waczenrodego — biskupa, który wyprowadził Warmię spod krzyżackiej zależności na drogę ścisłego związku z Koroną. Na nic wobec Krzyżaków zdała się nawet zdrada.

Na nic przede wszystkim wszelkie pertraktacje, na nic skarga złożona u ojca świętego, na nic środki podejmowane przez zjazdy stanów pruskich, w których Mikołaj uczestniczył jako przedstawiciel kapituły. Nie wyszło nic nawet z rokowań Albrechta z królem polskim, gdy Zygmunt I wojska swe do obrony Warmii skierował. Dostał i Olsztyn po oblężeniu Lidz-barka swoją załogę, dowódcą jej był kapitan Henryk Peryk z Janowic. A od pewnego czasu w rejonie Olsztyna dowódcą jazdy litewsko-ruskiej, Zbigniew Słupecki, pilnował z oddziałem w sile 700 koni najbardziej zagrożonych miejsc.

Późno zasnął Kopernik, zbudził się za to wcześniej, jeszcze o zupełnej ciemnicy.

Razem z Cebulskim obeszlą w pierw warty. Z murów i wieży

roztaczał się przepiękny widok na majaczące w ciemności, ośnieżone pola, na których czerniały plamy lasów. Tuż za fosą i murem spało miasto, którego tylko kominy, kościelna wieża i bramy wjazdowe wyrastały śnieżnymi czapami nad ciemny masyw. W ciągu nocy niewiele napadało śniegu, lecz wystarczyło to, by ułatwić zwiad i pozwoliło skuteczniej śledzić ruchy nieprzyjacielskich wojsk.

Strażnicy przeżyli się wszędzie na widok zbliżającej się sylwetki administratora.

Na wartowni zwiadowcy składali Kopernikowi meldunki, z których dało się łatwo naszkicować rozwój sytuacji. Otóż minionego wieczoru wojska krzyżackie widziano w Różgicach i Spręcowie, a także w Klebarku i Bartągu. Albrecht brał więc Olsztyn w kleszcze.

— Chcą nas okrążyć — powiedział Cebulski. — Nie wiem, jak tam wojska królewskie, ale widzi mi się, że powinny tym bandytom odciąć jedno skrzydło, wtedy drugie wróg z trudem pozbiera.

— Nie nasza sprawa — odrzekł Mikołaj.

— Jak to? — obruszył się sługa.

— Tak to, że pierwszym naszym zadaniem jest przygotować się do oblężenia. A o reszcie zadecydujemy na naradzie. Wiesz, że pora zbudzić dowódców, umówiliśmy się z nimi wczoraj. Rozkaż Hieronimowi, niech w te pędy przygotowuje na parę osób mięso, chleb i grzane wino. Może i twoja Jagna coś tam upiczei?

— Zbudzę burgrabiego i dowódców, tak jak sobie tego życzyli — powiedział Wojciech.

Po pół godzinie zaspani członkowie rady wojennej zbrali się w komplecie. Słupecki miał już meldunki od swych zwiadowców i opisał położenie. Założenia obrony ujął zwięźle: — Miasto i zamek przygotowują się do obrony. Nie ma innej rady, jak działać przy pomocy tych sił, którymi administrator dysponuje. Można jeszcze ściągnąć z okolicznych wsi tyle żywności, ile się

da, a jeżeli ludność będzie szukała schronienia — przyjąć ją, każdemu mężczyźnie wyznaczwszy zadanie. Ja wejść w kontakty z obydwojma skrzydłami nieprzyjaciela, a kapitan Peryk zostanie na zamku. W razie potrzeby pośpieszy mi z pomocą, a jak nie, to będzie gotował się do odpierania oblężenia.

Dzień był gorący. Kopernik bez przerwy przekazywał polecenia i kontrolował ich wykonanie. Wieści były coraz bardziej uspokajające. Wprawdzie rankiem nieprzyjaciel podszedłszy od Spręcowa zbliżył się traktem dobromiejskim aż pod Olsztyn, ale około południa nastąpił odwrót. Krzyżacy odeszli lasami do Likus, a stamtąd rozdzielili się: część oddziałów szła na Jonkowo, Pupki i Porbady, część zaś na Warkały i Wrzesinę. Wieczorem oddziały spotkały się we Wrzesinie.

Gdy niewiele przed północą rada zasiadła znów w tej samej sali, Słupecki powiedział: — Krzyżak nie zdecydował się na zaatakowanie Olsztyna. Powąchał jeno i poszedł dalej. I chyba nie wróci. Na tym gorącym dniu kończy się dla Olsztyna cała bieda. Albrecht uznał z pewnością, że długotrwałe oblężenie naszej twierdzy nie miałoby sensu, a nie ma tutaj nikogo, na czyją zdradę mógłby liczyć.

— Dajmy na to — wtrącił sceptycznie Peryk.

— Na co? — nasrożył się Słupecki. — Dajmy na co?

— Nic — machnął tamten ręką lekceważąco. — Na to, że prognostyk waszmości jest słuszny.

Spojrzeli na siebie wrogo.

— Prognostyka jeszcze nie postawiłem — odparł mówca. — Ale oto i on. Krzyżacy odejdą już od Olsztyna, pójdą na południowy zachód — mówiąc wskazywał palcem leżącą na stole mapę. — A my będziemy im dreptać po piętach. Ot, tyle. Tymczasem zaś radzę iść spać.

Pożegnawszy gości Kopernik swym zwyczajem wyszedł na krążganek, by lyknać przed snem świeżego powietrza.

Dyplomacja

Spotkanie z posłami królewskimi zostało umówione na godzinę popołudniową. Nie wiadomo, z jakimi żądaniami wystąpi Zygmunt, można tylko przypuszczać, że będzie chciał bez porozumienia z kapitułą mianować sobie biskupa. A na to nikt we Fromborku nie mógł się zgodzić. W ogóle po ostatnich awanturach w Lidzbarku trzeba było domagać się zaprzestania wybryków, na jakie pozwalały sobie królewskie załogi wojskowe.

Zgodzić się na całkowitą wolną wolę króla w sprawie obsady stolca biskupiego po zmarłym Fabianie z Łęczan? — Nie, na to także Mikołaj Kopernik — generalny administrator biskupstwa warmińskiego, sprawujący najwyższą władzę w czasie interregnum — nie mógł się zgodzić.

Dojadły mu już te godności. Po owym wojennym okresie — jeszcze w Olsztynie — musiał złożyć w ręce Gizjusza urząd administratora, bo został mianowany komisarzem Warmii. Teraz znów generalne administratorstwo, powierzone mu przez kapitułę. Gdyby o to zabiegał, kanonicy wpisaliby go na listę kandydatów do biskupiego tronu. Ale nie chce, zamiast tymi administracyjnymi i politycznymi funkcjami wolałby służyć ojczyźnie pracą naukową. W marcu ubiegłego roku, gdy z Gizjuszem i szlachcicem Troskim zasiadali na zjeździe stanów Prus Królewskich w Grudziądzu, myślał, że wreszcie wycofa się z życia politycznego, ale zdołał poczynić kilka zaledwie obserwacji astronomicznych, by znów popaść w te nienawistne zaszczyty. Wygłosił wtedy swój traktat o monecie, napisany jeszcze w 1519 roku; stany dobrze go przyjęły, jesienią zaś w Tcze-

wie podjęły opartą o jego wnioski uchwałę w sprawach monetarnych.

Oczekiwał teraz Gizjusza, by jeszcze raz z jego ust usłyszeć relację o przebiegu lidzbarskiego skandalu, którego ofiarami byli właśnie Gizjusz i Niderhof, a żaden z nich nie weźmie udziału w dzisiejszej rozmowie z posłami, kapituła wyznaczyła bowiem swego seniora, archidiakona Jana Skulteta. Dokładna znajomość wypadków lidzbarskich była jednak w dyskusji z przedstawicielami króla konieczna.

Gizjusz zjawił się na tyle wcześniej, by można było wyczerpująco i spokojnie porozmawiać. Przywitali się u progu kordialnie.

Czoło przyjaciela zmarszczyło się, gdy przypominał fakty, o których miał opowiadać:

— Biskup umarł trzydziestego stycznia. Kapituła po przyjęciu żałobnej wieści delegowała Niderhofa i mnie do Lidzbarka, byśmy zgodnie z przyjętym zwyczajem w jej imieniu objęli biskupstwo we władanie. Gdy wieczorem zajechaliśmy na miejsce, zastaliśmy już na zamku pierwszego gościa, wojewodę chełmińskiego, Jana z Łęczan. Siedział on tam zresztą od niejakiego czasu, oczekując śmierci brata.

— Był już tam, gdy ja po raz ostatni bawiłem w Lidzbarku na konsylium lekarskim — powiedział Mikołaj, dodając: — Wojewoda był o brata troskliwy i choć brzydził się jego widokiem, bardzo czule go pielęgnował. To było coś potwornego, widok tego człowieka i ogólna atmosfera, jaka panowała w Lidzbarku. I to wszystko oglądała nieszczęsna matka, która w Italii przez palce patrzyła na beztroskie hulanki i wybryki swego synalka. Wiesz, Tidemanie, nie lubiłem tej kobiety i jej syna już tam, na włoskiej ziemi, gdzie go poznałem. Panoszył się on, panoszyła się ona jeszcze bardziej. I tak panoszyli się do końca. Nikt ich nie kochał nigdy szczerze. Fakt faktem, że Fabian był chory na chorobę Wenery,

a medycyna była bezradna. Jeden z lekarzy musiał wreszcie amputować biskupowi nogę, co pociągnęło za sobą zimną febrę. Tak to choroba gonila chorobę. Podawano pacjentowi pigułki i mikstury, nalepiano na jego ciało plastry, nacinano mu skórę dla odsączenia wody. W ten sposób, wśród cierpień i odrazy, wśród hańby i nieprzyjaźni umierał kolejny władca Warmii. A niektórzy z kanoników przeklinali swego czasu Łukasza Waczenrodego... Ale doprawdy, mów ty, Tidemanie. Więc przyjechaliście do Lidzbarka i rozmawialiście z bratem zmarłego. Co dalej?

— Szła już noc, więc udaliśmy się na spoczynek. Dopiero nazajrutz zgramadziliśmy przed południem w sali tronowej wszystkich urzędników biskupstwa. Zeszli się przykładnie, wysłuchali naszych poleceń i złożyli przysięgę na nasze ręce. Niestety, wójt biskupi, Jerzy Preuck, nie stawiał się. Wezwałem go następnego rana do siebie i razem z Niderhofem oznajmiłem dobitnie, że winien również publicznie złożyć kapitule ślubowanie wierności. Oświadczył na to ordynaryjnym tonem, że tego nie uczyni, nie może tego uczynić bez wiedzy Najjaśniejszego Pana, który mu w czasie wojny powierzył komendę zamku.

— Powiedział wyraźnie: „bez wiedzy Najjaśniejszego Pana”? — upewniał się Kopernik.

— Tak — potwierdził Gizjusz. — Powiedział: „bez wiedzy Najjaśniejszego Pana”. I poszedł sobie. Próbowaliśmy wpływać nań poprzez rozmowy z mieszczanami lidzbarskimi, którzy go lepiej znali i łatwiej mogli przekonać. I to zapewne doprowadziło go do tej wściekłości. Groźbami i obietnicami zjednał sobie służbę, która poprzedniego dnia składała przysięgę, i na czele zbrojnej gromady wtargnął do naszej komnaty. Patrzyliśmy z niedowierzaniem i przerażeniem na jego w górę wzniesiony miecz. Próbowaliśmy mitygować przekonując, że sam sobie szkodę wyrządza takim aktem przemocy, lecz nic nie trafiało mu do

rozumu. Był wściekły, a zapewne zbyt mocno winem podchmielony. Krzyczał: „W imieniu Jego Królewskiej Mości rozkazuję waszmościom natychmiast opuścić zamek. W przeciwnym razie będę zmuszony do użycia siły”.

— Powiedział: „W imieniu Jego Królewskiej Mości”? — upewniał się znów Mikołaj.

— Powiedział: „W imieniu Jego Królewskiej Mości”. Zaczęliśmy tedy opuszczać komnatę. Gdy przez ten czas stał nad nami, uprzedziłem go, że popełnia bezprawie i zapowiedziałem, że naraża się władzom silniejszym od mięśni i żelaza. Nic więcej uczynić nie mogliśmy, chcąc przy życiu wrócić do Fromborka. Zebraliśmy naprędce swoje rzeczy i z tłumokami w rękach szliśmy bezbronni przed szeregiem zbrojnego żołdactwa, gotowego nas kłuć. Ten bandyta Preuck...

— To był najdzielniejszy obrońca Lidzbarka, Tidemanie.

— Był, ale już nie jest. A tego dnia postępował jak bandyta. Jak bandyta szedł za nami z nagim mieczem aż do ostatniej bramy zamku. Żeby tylko to. Razem z nami jego poplecznicy wyprowadzili oeconomusa Pawła Sznebeka.

— Czy używali przy tym przemocy fizycznej?

— Popychali go. A za nim dwa obrośnięte draby niosły trumnę biskupa jak kłodę. I potem jak kłodę rzucili ją za bramę. Bez względu na to, jaki był Fabian z Łęzan, nie wolno im było wyrzucać za bramę zwłok prawowitego pana tego zamku. Dobrze, że mieliśmy z sobą ludzi i wozy, więc mogliśmy uczynić sprawiedliwość sponiewieranym zwłokom biskupa. Wojewoda Jan z Łęzan był świadkiem tej ohydy. Gdyśmy wieźli trumnę na wozie, jechał za nami na koniu milcząc i płacząc tylko po cichu, a odprowadziwszy nas do granic miasta zawrócił do zamku.

Zamilkł. I milczeli tak obaj przez dłuższą chwilę. Ta śmierć i ten pogrzeb pokazały, że nie wystarczy być biskupem Warmii, by zbierać hołdy. Nadto trzeba mieć i inne walory: rozum, honor i cześć.

— Staneła między nimi ta śmierć jeszcze raz, jak memento, że nie należy lekkomyślnie ubiegać się o zaszczyty.

Mikołaj takiego memento nie potrzebował. Pragnął tylko jednego: czasu na kontynuowanie dzieła gwiazdziarskiego, na ostateczne sprecyzowanie tej nowej — wiedział już teraz że nie tylko rewolucyjnej, ale i wręcz świeżo — i bogoburczej teorii.

Gdy latem ubiegłego roku przeniósł się z Olsztyna z powrotem do Fromborka, musiał od nowa urządzać i dom, i dostrzegalnie, by móc dalej pracować nad swym dziełem. Zewnętrzna kuria była spalona i trzeba było ją odbudowywać. Stałe miał pełne ręce roboty.

— Pora już na spotkanie z posłami — powiedział Gizjusz i Mikołaj ocknął się z zamyślenia.

— Prawda. Trzeba iść do kapitulacza.

Gizjusz podniósł się z krzesła, zbliżył się do Mikołaja, roześmiał się głośno i rzekł:

— Strząśnij z siebie te mary! Rozpogódź się! Pamiętaj, że cokolwiek będziesz mówił do uszu tych dwóch ludzi z Krakowa, będzie to mowa do umysłu Najjaśniejszego Pana. Są pośrednikami między nim a tobą, który osobiście reprezentujesz Warmię, razem z jej przeszłością, terażniejszością i przyszłością.

Ciarki przeszły Mikołaja. Przymusił się do uśmiechu.

— Ładnie mnie rozweselasz. Zaraz ugnę się pod brzemieniem tego zadania. Zamiast uczynić je lżejszym, uczyniłeś je jeszcze cięższym, niż jest w rzeczywistości.

W kapitulaczu, dość dużej sali z długim, dębowym stołem pośrodku i licznymi fotelami dookoła niego, poza dodatkowym bocznym stołem i krzesłami nie stało nic więcej. Na ścianie wisiały malowane ciemnymi barwami portrety biskupów warmińskich, mające przypominać kanonikom fromborskim, kto jest naczelną władzą na Warmii. Nieduże okna wpuszczały dość światła, by rozwidnić wnętrze.

W sali siedział już stary Jan Skultet, najstarszy urzędem

i wiekiem kanonik. Patrzył smętym wzrokiem na jeden z wiszących portretów — portret Łukasza Waczenrodego, spoglądającego z powagą, z godnością, śmiało.

— To był biskup. Takiego nam trza, a nie fircyka prze-mądrzałego — powiedział do Kopernika.

— A kogo by wasza wielebność obrał?

— Gizjusza albo Ferbera — wymienił starzec jednym tchem.

— Ale co to wszystko pomoże, jeżeli Najjaśniejszy Pan chce nam tu narzucać swoich.

— Nie damy — powiedział Kopernik mocno. — Jestem za Polską, ale jestem i za prawem. A prawo jest za nami.

— Jakie tam prawo jest ważne przy Najjaśniejszym Panu! — Skultet machnął ręką.

Mikołaj siadł przy nim.

— Prawo podpisane przez polskich królów — odrzekł.

— Gdzie tam je waś znajdziesz. To było dawno.

— Dawno, ale obowiązuje. Odgrzebałem je w archiwach. — Wskazał na akta, które przyniósł z sobą.

Do sali weszli urzędnicy i pisarze. W ciszy zajmowali swoje miejsca przy bocznym stole. Potem przy drzwiach stanęła straż. Mikołaj zajął przynależne sobie miejsce pośrodku stołu, obok posadził Skulteta. I zaraz wszedł herold, który zwróciwszy się twarzą do Kopernika, złożył mu głęboki ukłon i zapowiedział, że nadchodzą posłowie króla Polski Zygmunta: wojewoda malborski Jerzy Bażyński i podskarbi ziem pruskich, kasztelan gdański Jan Baliński.

Posłowie odziani byli w drogie futra, a także futrzane czapy i buty, luty bowiem dokuczał tego roku. Zaraz służba zdjęła z nich wierzchnie odzienie, podobnie jak z towarzyszących im oficerów i szlachciców.

Znali się z Kopernikiem od dawna, zarówno ze spotkań w Malborku i Gdańsku, jak ze zjazdów stanów pruskich. Wyszedł im naprzeciw, przywitał się z nimi jak ze starymi kompanami.

Teraz już rozmowa potoczyła się tonem oficjalnym. Każde słowo było od tej pory protokolowane przez obie strony. Bażyński przedstawił krótko podziękowanie i pochwałę Zygmunta za powiadomienie go o śmierci biskupa Warmii oraz prośbę i polecenie o danie mu swobody w wyborze następcy, gdyż poprzedni biskupi byli wbrew prawu wybierani przez kapitułę, bez porozumienia z królami polskimi. Należy się więc, by z kolei król Polski zabrał głos ostateczny w tej sprawie. Jeżeli Warmia chce liczyć na Koronę, to w stosunkach między biskupstwem a stolicą musi wreszcie zapanować prawo.

I to było wszystko. Mikołaj spostrzegł, że posłowie właśnie prawa nie znają, że nie mają pojęcia o układach, które zostały swego czasu w tej materii zawarte. A może i król nie ma pojęcia o nich, jeżeli wyobraża sobie, że po wyborach bez udziału stolicy kolej na wybory bez udziału kapituły, że po prostu będzie sobie można wybierać biskupa na zmianę, raz przez jedną, drugi raz przez drugą stronę.

Upewniwszy się, że posłowie powiedzieli już wszystko, Kopernik rozłożył przed sobą papiery tak, by mógł z nich w odpowiednich momentach korzystać i obrzuciwszy całą salę spojrzeniem, zaczął mówić:

— Wielkim szczęściem i zaszczytem dla nas jest słuchanie z ust posłów królewskich o potrzebie kierowania się prawem. Nie może Jego Królewska Mość wyrządzić nam łaski większej od przywrócenia prawa na Warmii. Od lat już pragnie tego zarówno kapituła, jak biedna, unękana ludność tego kraju. Jest on rozdarty na trzy części. Jedna w rękach Krzyżaków, w drugiej rządzi kapituła, w trzeciej zaś jest dwuwładza, bowiem na równi z urzędnikami biskupimi sprawują rząd nie powołane do tego załogi wojsk królewskich. Ludność cierpi straszliwe krzywdy od zbirów w zakonnych płaszczach, na których świeci krzyż Chrystusa. Gdzie indziej znów żołnierze królewscy czynią, co chcą, korzystając z faktu posiadania broni. Wiadomo, na co po-

zwala sobie wojsko w czas wojny, a w czas pokoju wszelkie powściągi moralne zupełnie przestają działać, jeżeli ich prawowita władza ożywić nie potrafi. Najdobitniejszym tego przykładem był postępek komendanta zamku lidzbarskiego Jerzego Preucka, który zasłaniając się wolą królewską, zelżył i wypędził prawowitą władzę Warmii w osobach kanoników i pełnomocników kapituły: Tidemana Gizjusza i Leonarda Niderhofa, a także sprofanował zwłoki gospodarza tegoż zamku, zmarłego pana Warmii — Fabiana z Łężan. Ten ostatni, krzyczący o pomstę do nieba postępek przedstawiciela majestatu królewskiego znany jest obecnemu tutaj wielmożnemu Janowi Balińskiemu, podskarbiemu ziem pruskich, lecz ze względu na okoliczności godzi się go najwyższemu poselstwu przedstawić.

Tu zaczął Mikołaj opis wypadków w Lidzbarku. Doprowadziwszy opowiadanie do końca, mówił dalej:

— Tak więc przywrócenie porządku prawnego na Warmii jest sprawą nie cierpiącą zwłoki. Kapituła dąży do tego wszystkimi siłami, a posłanie królowi Polski wiadomości o zgonie biskupa Fabiana było oczywistym dowodem lojalności i dobrych intencji kapituły, która pragnie, by nowy biskup został obrany przy udziale Najjaśniejszego Pana, czyli zgodnie z prawem. Są te sprawy uregulowane układami, jakie zostały zawarte w latach po II pokoju toruńskim. Najważniejsze z nich są dwa akty piotrkowskie: pierwszy — z roku tysiąc czterysta siedemdziesiątego dziewiątego i drugi — z roku tysiąc pięćset dwunastego. Podkreślają one ścisły związek Warmii z Koroną. Już pierwszego myślą przewodnią jest, że w przyszłości członkowie kapituły fromborskiej będą obierali biskupami warmińskimi tylko osoby miłe królowi polskiemu. Rzeczywiście jednak zarówno Łukasz Waczenrode, jak i Fabian z Łężan zostali wybrani bez porozumienia z królem polskim, aczkolwiek wiemy, że byli mu mili. Wobec tego w tysiąc pięćset dwunastym roku został zawarty drugi układ piotrkowski, który dokładniej określa procedurę

elekcji biskupa Warmii. Otóż w razie opróżnienia się warmińskiej stolicy kapituła winna poinformować króla o śmierci biskupa i przedstawić mu listę wszystkich kanoników warmińskich, niezależnie od tego, czy w danym momencie rezydują we Fromborku czy nie. Z przedstawionej pełnej listy król polski ma wybrać czterech kandydatów, spośród których kapituła wyznacza jednego, a następnie zawiadamia monarchę o dokonanej elekcji i prosi, by zechciał polecić nowo wybranego biskupa papieżowi, w celu uzyskania konfirmacji. Po otrzymaniu jej nowy pan Warmii winien złożyć przysięgę wierności królowi polskiemu. Jest w układzie jeszcze jedna formuła, ta mianowicie, że wskazani przez króla, mili mu kanonicy, muszą być prawdziwymi ziem pruskich indygenami. Jednak synowie i bracia królewscy posiadają prawa równe indygenom pruskim. Muszę oznajmić wysokiemu poselstwu, że jako administrator generalny i wyznaczony przez kapitułę do rokowań jej pełnomocnik pragnę stać na gruncie tych praw. Oto, jak wygląda sytuacja prawna i jaki jest punkt wyjścia naszej strony. Proszę teraz waszmościów o ustosunkowanie się do niego, biorąc pod uwagę najlepszą wolę kapituły i jej wierność w stosunku do Najjaśniejszego Pana.

Przemówienie Mikołaja Kopernika zostało przez obie układające się strony przyjęte z podziwem i uznaniem. Nie można było właściwie przeciwstawić mu żadnego prawnego argumentu. Dyskusja, jaka się następnie toczyła, nie polegała już na wytażaniu racji z dwu przeciwstawnych pozycji, lecz jedynie na wyjaśnianiu stanowiska kapituły i omawianiu szczegółów. Drugi układ piotrkowski był zresztą dostatecznie korzystny dla króla, by i on go uszanował.

Ustalono na koniec, że król zostanie poproszony o wskazanie czterech miłych sobie indygenów, a kapituła wyśle pismo w sprawie ukrócenia samowoli wojsk królewskich i innych przedstawicieli Korony na Warmii, powołanych w związku ze stanem wojennym. Po podjęciu tych decyzji zakończono obrady.

Wieczór spędził Kopernik na wspólnej wieczerzy z posłami. Było dużo wspominków, dużo ciekawości o astronomiczny system Kopernika, o którym — jak zapewniali goście — uczono i na akademii krakowskiej i na innych uniwersytetach europejskich.

Nade wszystko jednak rozmowy toczyły się wokół nauki Lutra, która tyle wrzawy narobiła na całym świecie. Okazało się teraz, że również w Polsce, a najbardziej w Prusach Królewskich.

— Coraz więcej mnoży się predykantów, głoszących nową wiarę. Ale też trzeba przyznać, że niemało racji miał niemiecki mnich.

— To i waszmość jest za Lutrem?

— I tak i nie — odparł Bażyński. — Pozostanę wierny wierze moich ojców. Ale co słuszne, to słuszne. Przecie i świętej pamięci biskup wasz nie był przeciwny nowej nauce, nie zwalczał ponoć tych, co ją głosili.

— To prawda — odrzekł Kopernik. — Był tego samego zdania, co wy, mości wojewodo. Że są racje i po jednej, i po drugiej stronie, a więc niech każdy przyjmuje te argumenty, które mu odpowiadają. Przyznam się, i ja jestem za takim swobodnym wyborem, lecz osobiście, podobnie jak i waszmość, obstarę przy Rzymie, nie gardząc tym, co w poglądach Lutra jest mądrego i sprawiedliwego.

— To i może wasza wielbność ożeni się? — zaśmiał się głośno Baliński. — Bo u nas księża głównie przeciw celibatowi za Lutrem idą jak w dym i żenią się na siłę.

— Nie przyjmowałem wyższych święceń kapłańskich — wyjaśnił Mikołaj — i gdybym się nawet ożenił, to nie naruszyłbym praw Kościoła rzymskiego, jenó prawo zwyczajowe, według którego kanonikowi nie godzi się przyjmować żony. Nie ma to nic wspólnego z Lutrem. Ale księżom nie dziwię się, że właśnie to z jego nauki wychwycili. Sam jestem przeciwnikiem celibatu.

Zamilkł spostrzegłszy, że za daleko by zaszedł, kontynuując ten wywód.

Gdy już późno usypiał w swej komnacie, było mu wszystko jedno: Luter nie Luter, celibat czy małżeństwo. Odpędzał wspomnienie Anny i upewniał samego siebie, że jedynie pertraktacje z królewskimi posłami są w tej chwili ważne, bo mogą przynieść zgodę i pokój, bez którego nie ma życia ani z żoną, ani bez niej. Bez którego i gwiazdy uciekają głęboko w niebo. Potem wszystko zawirowało jak w wielkiej maszynie świata. Zasnął.

Pośród przyjaciół

Gdy w marcową pluchę razem z Gizjuszem, który towarzyszył biskupowi Maurycem Ferberowi, Mikołaj w imieniu kapituły warmińskiej witał w Malborku wielkiego władcę Zygmunta I, odrywał wzrok od oblicza monarchy i w jego otoczeniu wypatrywał starych przyjaciół. To właśnie myśl o możliwości ujrzenia ich zachęciła go do podróży, choć w ostatnim czasie dość niechętnie na ogół wyprawiał się poza Frombork. Nastął nareszcie czas pokoju, pozwalający na myślenie i na pracę naukową. Nadszedł zarazem czas wolności od nadmiaru innych obowiązków. Doznając szczęścia codziennej pracy umysłowej, prowadząc regularny i stateczny tryb życia, Mikołaj rzadziej wybierał się teraz na zjazdy i narady. Kapituła delegowała go przede wszystkim tam, gdzie omawiano reformę systemu monetarnego w Prusach, która po roku 1525 znów stała się pilną sprawą.

Daremnie wielki mistrz Zakonu Albrecht zabiegał w Niemczech o uzyskanie pomocy przeciwko Polsce. Nie otrzymawszy jej znikąd poszedł za radą Lutra i Melanchtona: złamał śluby zakonne i zamieniwszy swe posiadłości w księstwo świeckie przyjął nową wiarę. Następnie dla zapewnienia sobie spokoju złożył królowi polskiemu hołd na rynku krakowskim. Zawarty wtedy między Zygmuntem a jego wasalem układ zabezpieczał Warmii zwrot zagarniętych swego czasu przez Zakon miast i wsi. Kapituła zyskiwała także nadzieję na trwałą pokój.

Na mocy jednego z artykułów owego traktatu zostały zamknięte mennice pruskie w Królewcu, Toruniu, Elblągu i Gdań-

sku. Rozprawa Kopernika o biciu monet nabrała w tej sytuacji znaczenia. Kopernik szperał w archiwach w poszukiwaniu dawnych, akt, czynił badania numizmatyczne w skarbcach i mennicach, obliczał ceny złota, by pracę rozszerzyć, uzupełnić. Wyprowadzał nowe wnioski, zmierzające, by w całych Prusach była jedna, co najwyżej dwie mennice bijące monety ze znakami królewskimi. Wyjeżdżał w związku z tym na liczne narady. Również podczas obecnego pobytu króla w Gdańsku miały być omawiane sprawy monetarne.

W tej chwili jednak zepchnięte zostały na margines świadomości Mikołaja, oplątanej niemal całkowicie myślą o znalezieniu w Malborku krakowskich przyjaciół. W uroczystym momencie powitania nie dostrzegł żadnego z nich, toteż zaraz potem, uwolniwszy się od obowiązków przy biskupie, wymknął się z sali.

W jednym z korytarzy wpadł na Bernarda Wapowskiego.

Przyjaciele trzymali się długo w objęciach. Mikołaj rzewnie wspominał zielone lata w Krakowie i lata wzlotów w Italii. Gdy potem spojrzeli na siebie, pierwsze słowa ich były krótkie i śmieszne:

— Nic nie zmieniłeś się, bracie.

— Nic nie zmieniłeś się.

Wybuchnęli śmiechem i w beztroskim nastroju ruszyli przed siebie.

— Kto jeszcze ze znajomych przyjechał? — dopytywał Kopernik.

— Solfa!

— Odszukajmy go!

— Czekaj, cierpliwości, bracie, właśnie do niego idziemy, bo pytał o ciebie. Od niego wiem, że dopytywał się jeszcze gorliwiej ktoś inny, jakiś kancelista królewski.

— Stach?

— Może i Stach, nie powiedziano mi nazwiska.

Wzruszenie i radość niosły Mikołaja, był w tej chwili wolny

od wszelkich trosk. Zwracał raz po raz wzrok na przyjaciela — na tę samą drogą twarz sprzed lat — i prawie nie słyszał, co tamten mówił. A Bernard mówił o rosnącej sławie Kopernika, szczególnie po napisaniu listu przeciw Wernerowi. Jan Werner z Norymbergi ogłosił pisemko zawierające dwa traktaty „O ruchu ósmej sfery”. Otrzymawszy tę pracę od Bernarda, odpowiedział mu Mikołaj obszernym listem, a właściwie także traktatem, którego odpisy prędko rozeszły się po świecie.

— Przestań, Bernardzie, nie umieściłem przecież w swym liście nawet najmniejszej wzmianki o swej teorii. Po co to całe gadanie?

Przeciskali się przez tłum rycerstwa, duchowieństwa i dworzan. Przyjezdni z Prus rycerze i mieszczanie radowali się wielce, rozniosła się bowiem wieść, że król przybył, nie okazując gniewu. Potwierdził tę opinię biskup Warmii, który w imieniu ziem pruskich witał monarchę.

Jan Solfa jako lekarz królewski zajmował jedną z komnat przyległych do pomieszczeń Zygmunta, nietrudno więc było go znaleźć, trudniej za to dostać się do niego. Musieli szukać wstawienictwa dowódcy wart, korzystając z licznych protekcji. I właśnie w toku tych zabiegów, gdy akurat zbliżali się do zgiętej nad stolikiem postaci, w bazgrzącym coś na arkuszu urzędniku rozpoznał Mikołaj przyjaciela z lat chłopięcych.

— Stachu!

— Mikołaju!

Obowiązki nie pozwoliły jednak Stachowi zejść ze służby. A i Mikołaj wolał spotkać się z nim później sam na sam, by mieć go tylko dla siebie. Umówili się więc na późny wieczór w służbowym pokoju kancelisty.

Solfę najtrudniej było poznać, zestarzał się bardzo. Ten dawny docent krakowskiej akademii pełnił od wielu już lat obowiązki przy królu, który bezgranicznie ufał jego medycznej sztuce.

Siedli teraz w jego komnacie. Sprawny sługa prędko zastawił stół jadłem i trunkami. Przypomnieli sobie natychmiast czasy krakowskie.

— Pamiętasz, Bernardzie, jakeśmy z Andrzejem, Marcinem i obydwoma Konopackimi turlali się wozem do Wieliczki?

— Któż by nie pamiętał — westchnął Wapowski.

— Ja wtedy już wykładowcą byłem, choć niewiele od was starszy — z żalem dodał Solfa. — Nie przystało nawet, bym w owych swawolach udział brał. Oj, były to czasy! — westchnął rzewnie.

I tak szło od słowa do słowa, a wina w dzbanie ubywało. Po tem długo toczyła się dyskusja astronomiczna wokół traktatów Wernera i repliki Kopernika, o której również Solfa wysokie miał mniemanie. Była okazja do opowiedzenia sobie nawzajem o obserwacjach, prowadzonych równocześnie przez fromboreczyka i przez krakowian. Zeszło i na mapy Polski, wspaniałe podobno, które Bernard akurat do drukarni Floriana Unglera w Krakowie oddał i które wkrótce miały się ukazać. Wreszcie rozpalila przyjaciół dyskusja o tych najdrażliwszych sprawach.

— Ponoć i biskupi warmińscy, a także kanonicy chętnie skłaniają uszy do nauki Lutra? — zapytał Solfa.

Mikołaj nie lubił tych rozmów, jako zwolennik tolerancji religijnej z niepokojem słuchał głosów przesyconych fanatyzmem. Wydawało mu się, że poglądy lekarza królewskiego mogą być właśnie takie.

— To i prawda, i nie — odparł wymijająco. — Bardziej zaś nie.

— Jak to?

— Ano, poprzedni biskup, świętej pamięci Fabian z Łęzan pozwalał każdemu myśleć według jego własnej woli. Obecny natomiast wydał wojnę nowej nauce. A kanonicy myślą różnie. Ja najbardziej cenię sobie to, że nie ma wśród nich zaślepych fanatyków, wojujących po tej czy tamtej stronie. Mój przyja-

ciel Gizjusz wydał książeczkę przeciwną pisemku von Polenza, ale napisał ją w tonie bardzo łagodnym.

— A ty? — rzucił podchwytliwie Solfa.

— Chciałbyś może pochwalić albo potępić moje poglądy?

— No, nie — wycofał się ciekawski. — Zbyt cię lubię, by cię potępić.

— No, widzisz — podchwycił Mikołaj. — Ja lubię i cenię wszystkich ludzi, tak jak każe nauka Chrystusa. I dlatego szanuję wszystkie poglądy. I dlatego nikogo nie potępiam.

— Jak mam to rozumieć?

— Tak, że każdy kieruje się własnym rozumem, a ja nie czuję się w prawie osądzać cudzych sumień. Pozostawiam to Bogu.

Solfa zaczął wówczas wykazywać całe zło, jakie niesie światu luteranizm.

— Wiesz, co się dzieje na zachodzie. Chłopi buntują się przeciw panom, ewangelickie bractwo zawładnęło Szwabią, a potem Wirtembergią, Alzacją i Frankonią. Zamki i klasztory obracają się w gruzy. W Turyngii Tomasz Münzer obala wszystkie istniejące prawa, chce tworzyć jakieś porządki, których jeszcze na świecie nie bywało. Występuje się przeciw takim uświęconym prawom, jak poddaństwo i dziesięciny. Ponoć i w Prusach podobne rzeczy się zaczynają.

— Nam nie grożą — oświadczył Mikołaj oschłym tonem. — Nasz pan biskup Maurycy Ferber zarządził pogotowie wojenne, by ustrzec się wystąpienia. Współpracuje z niedawnym wrogiem Albrechtem w ściganiu buntowników.

— Toć Albrecht jest lennikiem Jego Królewskiej Mości Zygmunta.

— Wiem, wiem — Mikołaj machnął ręką.

— Ale przyznasz, że w Gdańsku dzieje się źle — wtrącił Bernard. — A zły przykład działa podobno na inne miasta, na Elbląg, Braniewo, a nawet Malbork. A co zdarzyło się z gdańskim burmistrzem?

— Obie strony ślepy fanatyzm ogarnia. Jest to najzdradliwsze na świecie uczucie, wywołujące wojny, spory, morderstwa, bunty, czy też zwykłe kłótnie. Fanatyzm zaślepił w Gdańsku zarówno zwolenników Lutra, jak i jego wrogów. Ale zaczęło się przecie od fanatyzmu luterańskiego, choć jego wyznawcy występowali w imię szlachetnej idei sprawiedliwości dla ludu. Buntowali lud przeciw przywilejom patrycjuszów, przeciw zbyt kom prebendowiczów, którzy nic nie robią, tylko jedzą i piją. Są przecie tacy nawet wśród warmińskich kanoników. Doszło do tego, że już przed czterema laty wypędzony został z Gdańska burmistrz Eberhard Ferber z całą rodziną. Schronili się oni w Tczewie i tam do dziś czekają sprawiedliwości z rąk króla, przed którym Gdańsk oskarżyli. Tymczasem tamtejsi mieszczanie gromadzili się nadal tłumnie pod ambonami, z których reformacyjni predykanci swoje nauki głosili, nie bacząc na zakazy i przestrogi królewskie. Całe szczęście, że nowa rada miejska nie przyłączyła się do tych ruchów. Trudno jednak być neutralnym, gdy sprawuje się władzę w mieście pełnym niepokoju. Toteż zdarzyło się, że uwięziono dwóch mieszczan. I wtedy wybuchł groźny bunt. To było w styczniu ubiegłego roku. Uzbrojony motłoch zgromadził się na zamiejskiej grobli, uderzył na zawartą bramę, wysadził ją i z okrzykami ruszył pod ratusz. Gdy rada nie chciała wydać więźniów, wyrzucono rajców i ławników i wprowadzono na ich miejsce innych. Pozostał tylko stary burmistrz Filip Biszof. Mnichów z całego miasta spędzono do jednego klasztoru, inne zamieniono na szkoły i szpitale. Wezwania królewskie wszyscy sobie lekce ważyli, więc Zygmunt, jak wiecie, obiecał wreszcie, że sam przyjedzie, by zrobić porządek. I oto go mamy. I oto ja przede wszystkim mam was, pozwólcie więc o naszych sprawach porozmawiać, zapomniawszy o państwowych. Od lat już nimi żyję i przyznam się, że mam ich już dość. Łatwiej gwiazdami rządzić niż ludźmi...

Roześmiali się.

— To zależy komu — powiedział Bernard. — Tobie łatwiej gwiazdami, innym łatwiej ludźmi. Choć wiem, że i u ludzi masz mir. Ale nie przeczę, że byłoby dobrze porozmawiać o naszych własnych sprawach. Nasz król i tak nie słyszy, a gdyby słyszał, to i nie posłucha, chyba że Solfa miksturę by mu dał stosowną do popicia, a ja z Marcinem Biemem horoskop bym postawił.

— To ty do tego jesteś na królewskim dworze?

— Trudno, taki los. Nie gorsza to robota od innych, choć wolę geografią i kartografią się paruć. Do rzeczy więc. Potrzebuję cię przy kreśleniu nowej mapy Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Chyba mi nie odmówisz?

Rozmowa potoczyła się teraz dookoła tych spraw, a i Solfa czynny w niej brał udział, bo go ciekawość świata rozsadzała, a opisy ziemi bardzo interesowały. Mikołaj opowiadał im więc o linii brzegowej Bałtyku, o biegu Łyny, Pregoi i innych rzek, o usytuowaniu największych spośród tysięcy pruskich jezior. Ale w pewnej chwili powiedział:

— No dobrze, ja wam tu o Prusach tyle prawię, a co wy mi o Krakowie powiecie?

Zaczęły się więc opowiadania o przyjaciółach wspólnych. Lecz Mikołaj stale próbował temat ku Maciejowi Szylingowi obrócić, żeby coś nieoś i o Annie usłyszeć.

— To nie wiesz, że Szylingowi zanosi się na przeprowadzkę do Torunia? — powiedział Bernard.

— To być nie może! — zawołał Mikołaj uradowany, że jego pragnienie ma się spełnić.

— Ponoć to skutek twojej rozprawy o biciu monet. Niewiele wiem na ten temat, lecz słyszałem, że od ciebie ma wyjść uzdrowienie monety i jakieś tam mennice mają zostać otwarte.

— Toczą się dyskusje o sprawach monetarnych, lecz nijak do porządku dojść nie może — wyjaśnił Mikołaj. — Ja projekt daję, by nadmiar mennic zlikwidować, a jedna czy dwie, które by w Prusach pozostały, królowi mają być poddane.

— No widzisz! — wybuchnął Bernard. — Więc tedy Szyling została przez królewską mennicę w Krakowie do toruńskiej oddany. A z nim córka jego, Anna, by poszła, która podobno serdecznie za tobą wzdycha. Azaliż to prawda?

Spuścił Mikołaj oczy, nie rozmawiał z nikim nigdy o tym, co go łączyło z Anną. Ale słowa Bernarda wzruszyły go i napełniły wielką otuchą.

— Bardzo to być może, co mówisz o Szylingu. Jest to wielki artysta, mógłby w takiej pruskiej mennicy zostać mincmajstrem. A prawda i to, że jeżeli tak się stanie, to po części dzięki moim wystąpieniom. Być może, iż król zadecyduje o tym w czasie pobytu w Gdańsku. Kiedy ma tam pojechać?

Solfą był zorientowany najlepiej:

— W kwietniu dopiero wybiera się do Tczewa, a stamtąd do Gdańska. Ma jeszcze w Malborku mnóstwo spraw do załatwienia, a przedtem odpocząć musi po trudach podróży.

Długo jeszcze trwała rozmowa z przyjaciółmi, ale Mikołaj już teraz myślą przy Annie trwał, uczucie niosło go daleko do Krakowa, do kamienicy przy ulicy Grodzkiej.

Z radością powitał Stacha, który z unizonymi przeprosinami przybył do komnaty Solfy późnym wieczorem, tłumacząc się za zakłócenie spokoju ważnymi sprawami.

— Miałem ja wezwać cię, Mikołaju, przed oblicze marszałka dworu, ale marszałek zgodził się na to, bym ja cię osobiście powiadomił o zaszczycie, który cię spotka. Oto masz wyznaczoną na pojutrze audiencję u Jego Królewskiej Mości.

— Naprawdę? — zawołał Mikołaj. Był to rzeczywiście zaszczyt niemały. — Czemu tę łaskę zawdzięczam?

— Najjaśniejszy Pan pragnie z tobą porozmawiać o gwiazdach i o twojej teorii monetarnej — wyjaśnił Stach. — Twoja sława rzeczywiście daleko sięga, Mikołaju.

To było następne wzruszenie, które przeżył Kopernik tego pamiętnego dnia. Ale nie ostatnie.

Z trudem wydostali się z komnaty gościnnego doktora Solfy. Wyszedłszy na świeże powietrze Mikołaj wyprowadził Stacha na spacer po murach obronnych. Stach jednak przynaglał, by pójść do jego pomieszczenia.

— Dlaczego?

— Mam coś dla ciebie.

— Co? Mów! — zażądał Mikołaj niecierpliwie.

— List od Macieja Szylinga.

— Dawaj! — to był już krzyk.

Podeszli do najbliższego strażnika, stojącego z pochodnią przy schodach wiodących na dziedziniec. Tam Mikołaj rozłożył papier i w świetle pochodni pochłaniał go łakomym wzrokiem.

Nie trwało to długo. Przeczytawszy list nie odezwał się słowem. Spojrzał w ciemną, malborską noc; rysowały się masywne mury największego zamku w Prusach. Tam na dole płynął Nogat, majaczył tylko ledwie dostrzegalną wstęgą, odbijającą nikiel ogniki zamkowych świateł.

Potem w komnacie Stacha siedzieli dwaj przyjaciele przytuleni do siebie, w blasku jednej tylko świecy, której płomyczek chybotął, poruszany ich oddechami. Opowiadali i spijali kielich po kielichu, a Mikołaj z wyjątkową swadą i z wyjątkową chęcią mówił o obrotach ciał niebieskich.

— I jak daleko posunąłeś się w spisywaniu swej teorii?

— Właściwe dzieło jest w połowie gotowe — wyznał Mikołaj. — Jeszcze przede mną pisanie, jeszcze poprawki, jeszcze uzupełnienia. Lecz heliocentryczny system właściwie mam już w całości przemyślany.

— Pośpiesz się i prędzej oddaj rękopis drukarzom.

Mikołaj zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie spojrzał w oczy przyjaciela i odparł:

— Astronomia jest dla astronomów, matematyka dla matematyków. A innych cóż one obchodzą? Nie znasz pitagorejskiej zasady? Powiedział filozof starożytny, że nigdy nie chciałby po-

dobać się tłumowi, bo co on wie, tego tłum nie upodobał, a co tłum upodobał, tego on nie wie. Zresztą jeszcze żyję, jeszcze czynię obserwacje, więc jeszcze dzieła, jako zamknięte, nie mogę traktować. Poza tym czekam na swoją gwiazdę.

— Jakaż to twoja gwiazda? — spytał zdziwiony Stach.

— Powiem ci jednemu, jednemu, pierwszemu.

— Powiedz, jakaż to gwiazda?

— Anna.

Stach patrzył na Kopernika z niedowierzaniem. Ten jednak wyjął list — niby od Szylinga, a właściwie od Anny — rozłożył go jeszcze raz i zaczął czytać głośno:

„Panie mój, luby Mikołaju! Coraz rzadziej otrzymuję od Ciebie listy i przyznam się, że i ja coraz rzadziej do Ciebie piszę, bo jakżeż przemawiać do kogoś, kto odpowiedzi dać nie raczył. A przecież na świecie tyle się zmienia. Za mojej nie najdłuższej pamięci odkryto nowe lądy, Ty poznałeś prawdę o Wszechświecie, a w ostatnich znowuż latach wynaleziono nową wiarę. Gdyby nie wyniszczające ludzkość wojny, które i Ciebie bez przerwy niemal dotykają, to narody mogłyby żyć w coraz większym szczęściu, bogacąc się z roku na rok w nowe mądrości. Największa jednak jest chyba ta, którą Ty objawiłeś, inne wydają się być jej podporządkowane. Jeżeli podróżnicy odkryciem nowych lądów i nowych dróg morskich potwierdzili kulistość Ziemi, to uczynili to ku Twojej chwale. Jeżeli Luter świętych z nieba wypędza, to potwierdza to wszystko, coś powiedział Ty o ruchach nadziemskich.

Tak więc wszystko mi Ciebie przypomina. Wszystko, a najbardziej Twój portret, w który codziennie się wpatruję. I twarz na nim Twoja, i ślad ręki Twój, która go malowała. Lecz i w mieście o Tobie słyszę, bo oto sława Twa urosła znów o traktat o biciu monet. Znawcy dyskutują o Twoich poglądach, ojciec przynosi z mennicy wiadomości o rozmowach, w których bierze udział. A co najważniejsze, to wśród innych rzeczy także

Twój traktat przyczynił się do tego, że możemy trafić do Torunia, Gdańska albo Królewca, gdzie według Twych postulatów poddana królowi mennica ma być otwarta i spodziewamy się, że ojca mego do pracy w którejs z nich wezmą. Gdybym była bliżej Ciebie, to może częściej byśmy się widywali, bo w Krakowie coraz rzadziej bywasz, a ostatni raz kiedy? Już nawet nie pomnę.

To jest najważniejsze, co chciałam Ci przekazać, ta wiadomość o możliwości przeniesienia się bliżej Ciebie, choć Twój przyjaciel Stach może Ci o tym powiedział. Zresztą wiele osób o tym wie i mogły te wieści do Ciebie wcześniej już dotrzeć.

To jest najważniejsze, czym żyję, to mi dodaje sił do życia, każe mi jaśniej patrzeć w przyszłość.

Już poniechałam myśli o klasztorze i modłę się codziennie do Najwyższego, by pozwolił mi połączyć się z Tobą, bo bez Ciebie moje życie jest trwaniem trawy w czas posuchy. Jeżeli możesz, to przyczyn się do tego, by moje modlitwy mogły się spełnić.

Napisz, proszę, co się z Tobą dzieje, co czynisz, nad czym się moolisz. Czekam, wierna Ci aż do śmierci

Anna."